

WIEŻ co Tydzień

Minister do spraw dzieci czwartek, 21 listopada 2024

| Temat numeru

Minister do spraw dzieci

Karol Grabias

Dlaczego potrzebujemy praw dziecka?

Katarzyna Jabłońska

Czy „silniejszy” ma kształtować „słabszego” – prawa dziecka

Konrad Ciesiołkiewicz

Mówimy dzieciom jak mają się czuć, uczyć, ubierać. Robimy to samo wobec dorosłych?

Małgorzata Wałęjko

| Podcast

Pomagać, czyli dawać przestrzeń

Katarzyna Jabłońska w rozmowie z s. Anną Bałchan

| Kościół

Wszyscy siedzieliśmy pod ścianą. Po spotkaniu pokrzywdzonych z biskupami

Zbigniew Nosowski

| Kultura

Przyjaźń, czyli najlepsze na co nas stać

Monika Kostera

| Polska, historia

Niepodległość i sprawiedliwość dla wszystkich. Rząd Jędrzeja Moraczewskiego

Przemysław Prekiel



| Edytorial

Minister do spraw dzieci

Karol Grabias

Czy wyobrażenie dziecka jako człowieka wybrakowanego nie jest ostatecznie winne każdej krzywdy, jaką wyrządzamy najmłodszym?

„Postanowiliśmy, żeby rządził cały naród, żeby cały naród mógł powiedzieć, czego mu potrzeba. Ale zapomnieliście panowie, że naród – to nie tylko dorośli, ale i dzieci. Mamy kilka milionów dzieci – więc i one powinny rządzić” – tymi słowami Król Maciuś Pierwszy ogłosił swoim ministrom powołanie sejmu dzieci.

Choć jego eksperyment – przez napiętą sytuację wewnątrz i przy granicach królestwa – zakończył się katastrofą i zesłaniem, u swego źródła był manifestem podmiotowości młodego władcy i sprzeciwu wobec lekceważenia, z jakim nieustannie spotykał się po śmierci swojego ojca, Stefana Rozumnego.

„Przecież to tylko dziecko, nic z tego nie rozumie” – jak często słyszymy te słowa, wypowiedane w obecności małych ludzi? Dziwaczne przekonanie, że dzieciom nie należą się szacunek, uwaga i godność, które bez zastanowienia przypisujemy dorosłym, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Czy wyobrażenie dziecka jako człowieka wybrakowanego nie jest ostatecznie winne każdej krzywdy, jaką wyrządzamy najmłodszym?

„Kiedy zapytamy osobę dorosłą, czy zdarza się jej dać dyscyplinującego klapsa innej osobie dorosłej, uzna to pytanie za co najmniej dziwne. Tymczasem wobec dziecka ta możliwość wciąż dla wielu dziwna nie jest” – mówi Monika Rosa w rozmowie z Katarzyną Jabłońską. To tylko jeden z wielu przykładów tego, co logika ma nam do powiedzenia na temat naszego stosunku do dzieci.

Warto przypominać sobie, jak wiele mamy jeszcze do zrobienia, by oddać sprawiedliwość człowieczeństwu najmłodszych. Patostreaming, dostęp do pornografii, akceptowanie przemocy ze strony dorosłych mają się wciąż – niestety – dobrze. Może zatem Maciuś Pierwszy miał rację i potrzebujemy ministra do spraw dzieci? Po to, by chronić dzieci przed tym, jaki świat zbudowali im dorośli.



| Temat numeru

Dlaczego potrzebujemy praw dziecka?

Katarzyna Jabłońska

W Polsce nadal pokutuje przeświadczenie, że dzieci są własnością rodziców – mówi posłanka Monika Rosa, przewodnicząca sejmowej Komisji do Spraw Dzieci i Młodzieży.

Katarzyna Jabłońska: 20 listopada obchodzimy Międzynarodowy Dzień Praw Dziecka. Choć Konwencja o Prawach Dziecka została przyjęta przez ONZ już 35 lat temu, wciąż można usłyszeć: skoro mamy prawa człowieka,

którymi objęte są również dzieci, po co nam jeszcze specjalne prawa im dedykowane?

Monika Rosa: Praw dziecka potrzebujemy, ponieważ dzieci to szczególna grupa osób potrzebująca od dorosłych dodatkowego wsparcia i zapewnienia poczucia bezpieczeństwa. Rzeczywiście Konwencja o Prawach Dziecka ma już 35 lat, jednak wiele z jej zapisów wciąż nie zostało w naszym kraju w pełni zrealizowanych albo w ogóle nie są realizowane. Tymczasem rzeczywistość przynosi nam kolejne wyzwania związane z nowymi zagrożeniami, które w sposób szczególny uderzają w osoby małoletnie.

Wymieńmy te najistotniejsze.

– Wśród nich szczególnie ważna jest kwestia dotycząca bezpieczeństwa dzieci zarówno w wymiarze fizycznym, jak i psychicznym. Jest bardzo wiele do zrobienia w kontekście przemocy rówieśniczej czy przemocy domowej.

Do tego dochodzą nowe wyzwania związane z funkcjonowaniem dzieci i osób młodych w świecie cyfrowym. Tam również mamy do czynienia z bardzo wieloma zagrożeniami, w tym różnego rodzaju działaniami przemocowymi (hejt, wykorzystanie seksualne) czy dezinformacją.

Niezwykle łatwy dostęp w sieci do pornografii, patostreamingu, brak wiedzy, jak działają algorytmy, jak raz udostępnione prywatne, nierzadko wrażliwe dane i treści zaczynają być własnością publiczną – wszystko to stanowi bardzo konkretne zagrożenie.

Rzeczywistość cyfrowa wyprzedziła nas, nie jesteśmy odpowiednio przygotowani do „czytania” zarówno wielu jej możliwości, jak i wpisanych w nią zagrożeń. Akcje edukacyjne na temat wymienionych przez panią zagrożeń prowadzą różnego rodzaju fundacje. Są one bardzo cenne, ale kwestie np. obecności określonych treści w sieci i dostępu do nich powinny regulować przepisy prawne.

– Aktywiści i organizacje pozarządowe zazwyczaj jako pierwsi dostrzegają ważne problemy współczesności i alarmują. Państwo, niestety, działa tu często z opóźnieniem.

Pełna zgoda, że to w gestii państwa są regulacje, które np. wprowadziłyby weryfikację wieku dostępu do określonych treści, portali internetowych czy w ogóle mediów społecznościowych. Regulacje te powinny obciążać dostawców niebezpiecznych dla małoletnich treści określoną, konkretną odpowiedzialnością. No i tego typu regulacje muszą zostać ustalone na poziomie międzynarodowym. Inaczej nic nie wskóramy, bo internet to rzeczywistość globalna. Dlatego Digital Service Act, który obecnie ma być wdrażany również w Polsce, przewiduje właśnie regulacje w usługach cyfrowych i ma stanowić o rynkach cyfrowych. Regulacje te mają na celu stworzenie bezpieczniejszej przestrzeni cyfrowej, w której chronione są prawa podstawowe użytkowników.

Również edukacja, nie tylko zresztą osób młodych, ale także nas, dorosłych, w zakresie świata cyfrowego to sprawa priorytetowa. Jak bardzo ważna jest w tej kwestii

właśnie edukacja dorosłych świadczą choćby dane dotyczące kontaktu młodych ludzi z patostreamingiem. Okazuje się, że co trzeci ośmioklasista ogląda patostreaming. Tymczasem jedynie 12 proc. rodziców jest tego świadomych.

W wielu dorosłych pokutuje przeświadczenie, że jego dziecko na pewno z takimi treściami się nie spotyka.

– To myślenie życzeniowe. Dorośli powinni mieć zdecydowanie większy wgląd w to, z jakimi treściami obcuja ich dzieci w sieci.

To prawda, ale pamiętajmy też, że rodzice często nie mają wystarczających kompetencji, żeby dzieciom przekazać wiedzę na ten właściwego poruszania się w przestrzeni cyfrowej.

– Tym bardziej ważna jest uważność rodzica, jego realna obecność w życiu dziecka, rozmowa z nim. Poza kwestiami treści, na jakie trafiają dzieci i młodzież w internecie, ważny jest również czas tam spędzany. A badania pokazują, że młodzi ludzie przebywają w internecie średnio pięć godzin dziennie, a w weekendy nawet sześć! To jest naprawdę długo. Zdaniem psychologów, pedagogów czy lekarzy to zbyt dużo.

Dlatego bardzo się cieszę, że zasady edukacji i higieny cyfrowej zostały zawarte w programie nowego przedmiotu – edukacji zdrowotnej. Na tych lekcjach uczniowie będą się uczyli m.in.: jak reagować na hejt, rozpoznawać fałszywe treści, tworzyć realny wizerunek własnego ciała.

Brała pani niedawno udział w prezentacji kolejnego już raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę na temat postaw dorosłych wobec krzywdzenia dzieci w Polsce. Co panią w tym raporcie ucieszyło, a co zmartwiło?

– Cieszy bardzo to, że coraz więcej osób nie uznaje kar fizycznych, ten wynik poprawia się z roku na rok. Zaskakuje natomiast to, jak wielu dorosłych nie ma świadomości, że w Polsce obowiązuje prawny zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci.

Na szczęście coraz więcej dorosłych ma krytyczny stosunek do kar cielesnych wobec dzieci, jednak nadal 1/3 Polaków je akceptuje.

– To zdumiewające, bo kiedy zapytamy osobę dorosłą, czy zdarza się jej dać dyscyplinującego klapsa innej osobie dorosłej, uzna to pytanie za co najmniej dziwne. Tymczasem wobec dziecka ta możliwość wciąż dla wielu dziwna nie jest. Niestety, wielu dorosłym wydaje się, że w stosunku do dzieci możemy więcej. I wciąż jeszcze za mało reagujemy na przemocowe zachowania wobec dzieci, zwłaszcza, kiedy stoją za nimi rodzice. A ten brak reakcji zbyt często kończy się tragicznie.

Badania mówią, że rocznie od 20 do 40 dzieci umiera z powodu przemocy domowej. To tak, jakby w przedszkolu zniknęła cała grupa, a w szkole cała klasa...

– Nadal w wielu domach pokutuje przeświadczenie, że dzieci są własnością rodziców i nie należy ingerować w to, jak postępują oni wobec swoich dzieci.

Mamy tu do nadrobienia sporo zaległości. Musimy np. zmienić Kodeks rodzinny i opiekuńczy, aby lepiej respektowana była autonomia dziecka, by miało ono większą podmiotowość w decydowaniu o sobie czy żeby dziecko w istotniejszy stopniu zostało uwzględnione w procedurze Niebieskiej Karty.

Mam też nadzieję, że wiele dobrego wyniknie z ustawy Kamilka. Wiem, że wzbudziła ona sporo krytyki, bo – jak to z nowymi regulacjami bywa – nie wszystko w niej działa dobrze i nie wszystko jest perfekcyjnie sformułowane. Bardzo nam jednak zależy, żeby ta ustawa była traktowana nie jako narzędzie do karania opiekunów dzieci, lecz jako działanie na rzecz dobra małoletnich.

Nie do przecenienia są też takie inicjatywy jak ogólnopolska kampania „Dzieciństwo bez przemocy”.

Jak pani przekonuje dorosłych, że kary cielesne wobec dzieci są złe i nie należy ich tolerować?

– Nie ma przemocy, która nie rodzi konsekwencji. Kara cielesna nie tylko wywołuje lęk i prowadzi do utraty zaufania dziecka wobec dorosłego, ale pokazuje, że to akceptowalny sposób rozwiązywania konfliktu czy innego problemu. Badania dowodzą też, że bity zazwyczaj potem bije innych.

A czego życzyłaby pani dzieciom i młodzieży w dniu ich praw?

– Życzę wam, aby zawsze był przy was przynajmniej jeden odpowiedzialny dorosły, któremu będziecie w stanie zaufać. Byśmy razem potrafili wspólnie stworzyć świat, w którym będziemy się czuć bezpiecznie, w którym będziemy mogli realizować swoje plany i marzenia.

Chciałabym również zapewnić młodych ludzi, że sejmowa Komisja ds. Dzieci i Młodzieży, którą kieruję, chce współpracować z nimi. Bardzo zależy mi na tym, byśmy my – dorośli, w niej pracujący – słuchali nie tylko siebie nawzajem. Chcemy słuchać osób młodych, bo przecież sprawy, którymi się zajmujemy, ich właśnie dotyczą. Zależy nam na waszym zdaniu.



| Temat numeru

Czy „silniejszy” ma kształtować „słabszego” – prawa dziecka

Konrad Ciesiołkiewicz

Jeśli jakość społeczeństwa i jego instytucji mierzy się stosunkiem do najsłabszych grup społecznych, to najbardziej obiektywną miarą tej jakości będzie podejście do dzieci.

Wszyscy na pewno chcielibyśmy lepszego świata dla naszych dzieci. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale czy już wszyscy zgodziliby się ze słynnymi słowami Janusza Korczaka: „Nie ma dziecka, jest człowiek”?

Dzień Edukacji Narodowej to dobra okazja, by pomyśleć o prawach dziecka. To ważne i z perspektywy nauczycieli, i rodziców – a przede wszystkim: samych dzieci. A właściwie: z perspektywy nas wszystkich.

W tym celu sięgam do dwóch książek: znanej od lat „Pedagogika dziecka. Studium pajdocentryzmu” prof. Bogusława Śliwerskiego oraz wydanej niedawno dr Anny Golus „Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja uczy wychowywać dzieci”. Mniejsza, czy zgadzam się ze wszystkimi wyrażonymi przez autorkę drugiej pozycji uwagami. Istotne, że w obydwu z nich znajduje się pewien uniwersalnie ważny sposób myślenia.

„Silniejszy” ma kształtować „słabszego”?

Krytyce poddany w nich zostaje model wychowania i dyskursu publicznego opartego na tzw. adulystycznej relacji dziecko–dorosły. Adulizm jest formą dyskryminacji dzieci i młodzieży ze względu na ich wiek. Najmłodszy są postrzegani w tym modelu przede wszystkim przez pryzmat swoich niedoskonałości. Dziecko jest tu istotą niepełną, dopiero dążącą do stania się w pełni wartościowym uczestnikiem życia społecznego. Proces ten przebiega pod dyktando dorosłych jako pełnoprawnych i kompetentnych osób. Taki charakter relacji między dzieckiem a dorosłymi prowadzi jednak do pomieszania autorytetu z autorytarną władzą i wielu nadużyć wobec nieletnich.

Praktycznym przykładem powszechności podejścia adułytycznego są opłakane konsekwencje relatywnie nowego zjawiska o nazwie „sharenting”, czyli nadmierowe udostępnianie w sieci danych osobowych, zdjęć i materiałów wideo dotyczących dzieci przez ich bliskich. Dorośli rozpowszechniają te materiały, bo uważają, że to oni rozporządzają danymi i wizerunkiem dziecka w jego imieniu.

W mojej ocenie oznaką zakorzenienia w Polsce tego modelu jest m.in. deklaracja dołączona w kwietniu 1991 r. do ratyfikowanej wtedy Konwencji o prawach dziecka. Deklaracja zgłasza zastrzeżenie: „Rzeczpospolita Polska uważa, że wykonania przez dziecko jego praw określonych w konwencji, w szczególności praw określonych w artykułach od 12 do 16, dokonuje się z poszanowaniem władzy rodzicielskiej, zgodnie z polskimi zwyczajami i tradycjami dotyczącymi miejsca dziecka w rodzinie i poza rodziną”.

Innym przejawem tej wizji jest także myślenie o dziecku w kategoriach „projektu przyszłości” lub „inwestycji”. W książce „Dzieciństwo. Doświadczenie bez świata” Małgorzata Jacyno i Alina Szulżycka zwracają uwagę, że traktowanie w taki sposób dziecka jest niebezpieczne dla jego dobrostanu: „Dziecko może być w przyszłości wszystkim i Każdym, dlatego teraz jest Nikim. Tożsamość skonstruowana wokół <<braku>> przywraca życie, bo daje tożsamość, ale sama różnica pomyślana jako <<brak>> uśmierca”.

Bogusław Śliwerski – za szwajcarskim pedagogiem Hansem Sanerem omawia także model izonomii (pokoju i tolerancji), w którym dziecko traktowane jest jako osoba na równi z dorosłym. Teoretycznie zakłada on wspólnotę dzieci i dorosłych, bez dominacji tych drugich. Relacja ta ma charakter wymienny i symetryczny. Opiera się na miłości i szacunku. Wymaga dużych zdolności komunikacyjnych i dialogicznych w celu prowadzenia wymiany doświadczeń jak „równy z równym”.

Zwolennicy większej emancypacji dzieci krytykują ten model. Widzą problem z tzw. ukrytym programem, jakim kierują się w swojej pracy instytucje wychowawcze tworzone przez dorosłych. Zarzucają temu podejściu hipokryzję i rozdźwięk między deklaratywnym uznaniem równości a rzeczywistością, w której wciąż wola „silniejszego” pozwala mu kształtować „słabszego” według własnej wizji.

Podstawowy język ludzkości

Odpowiedzią na słabości dwóch poprzednich modeli jest trzeci – nazywany autonomicznym modelem relacji dziecko–dorosły. Świat dorosłych nie jest w nim prezentowany jako wzorcowy i pełen doskonałości. Dziecko jest tu autorytetem we własnych sprawach. Nie jest tylko biernym odbiorcą poleceń i komunikatów płynących z instytucji, lecz jest postrzegane jako osoba kreatywna i kompetentna w zakresie spraw, które dotyczą życia rodzinnego, społecznego, nauki czy wychowania. Jest

podmiotem i obywatelem, który posiadać powinien narzędzia do korzystania z własnej sprawczości.

W nurt ten wpisują się wybitne postaci. Jest on w pewnym sensie ucieleśnieniem cytowanych wyżej słów Janusza Korczaka: „Nie ma dzieci, są ludzie”. Słowa te wymagają jednak doprecyzowania. Dzieci bowiem to ludzie mający nieco inny zakres potrzeb, inne jest ich odczuwanie i sposoby komunikowania się. Słynny terapeuta Jasper Juul stwierdza z kolei, że: „Dzieci dają nam informację zwrotną, która umożliwia nam odzyskanie utraconych umiejętności i pomaga pozbyć się nieskutecznych, nieuczulych i destrukcyjnych wzorców zachowania”.

Z racji znaczenia szczególnego okresu życia, jakim jest dzieciństwo, dzieci powinny być otoczone szczególną uwagą ze strony dorosłych i instytucji publicznych. Uwaga ta, leży w najlepiej pojętym interesie dorosłych, gdyż dzieci i młodzież niosą ze sobą, zgodnie z opinią Jaspersa Juula, nieograniczone zasoby emocji, zdolności i potencjałów. Przede wszystkim – korzystając z określeń słynnej polskiej pedagogożki, Marii Łopatkowej oraz Marshalla Rosenberga, twórcy tzw. nurtu NVC („porozumienia bez przemocy”) – dzieci używają, zapomnianego przez wielu dorosłych, podstawowego języka ludzkości, jakim jest język serca. Kierowanie się tą inspiracją wymaga nieustającego nastawienia emancypacyjnego, a przede wszystkim umiejętności prowadzenia dialogu.

Podejście autonomiczne („dziecko kompetentne”) bliskie jest też myśleniu, które stoi u podstaw dobrze znanego mi

podejścia skoncentrowanego na rozwiązaniach, w którym to klient jest ekspertem od swojego życia. Tylko on go doświadcza i tylko on naprawdę sobie w nim radzi. Zadaniem terapeuty lub pedagoga jest próba zrozumienia tego świata oraz wspieranie osoby w dostrzeganiu i rozwijaniu swoich mocnych stron. W ten sposób dziecko staje się w tej relacji przewodnikiem po swoim świecie.

Przemoc niezauważana

Choć na co dzień wypowiadamy wiele pięknych słów na temat potrzeby przeciwstawiania się przemocy, prawie 50 proc. z nas akceptuje kary cielesne. Z badań Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że 72 proc. młodych ludzi w Polsce doświadczyło jakiejś formy krzywdzenia – 41 proc. ze strony bliskich dorosłych, a 57 proc. od rówieśników. Obciążające doświadczenie seksualne (np. próba nakłaniania do czynności seksualnych) dotyczy aż 20 proc. nastolatków. Wykorzystania seksualnego doznało 7 proc. młodych ludzi. 16 proc. nastolatków okalecza się, a 7 proc. podjęło próbę samobójczą.

UNICEF informuje, że co czwarte dziecko w Polsce doznaje w szkole przemocy słownej, najczęściej ze strony rówieśników. Tylko połowa nauczycieli przyznaje, że szkoła zauważa łamanie praw dziecka, a aż 1/3 twierdzi, że prawa te łamane są przez rodziców.

To zatrważające statystyki i niechlubny dowód na powszechną ignorancję i brak umiejętności słuchania i zauważania problemu przez dorosłych. Skala

krzywdzenia osób małoletnich wciąż jest ogromna. Zbyt poważna, by móc powiedzieć, że o niej nie wiemy. W zdecydowanej większości zetknęliśmy się z nią, ale racjonalizujemy nasze doświadczenia, korzystamy z całej palety przekonań i stereotypów, odwołujemy się do własnych doświadczeń z przeszłości, uznając, że wyszliśmy przecież na ludzi.

Brak reakcji na przemoc wynika także z niewystarczających kompetencji. Zdolność słuchania, zauważania i podejmowania właściwych działań wymaga kierowania się całym katalogiem humanistycznych i personalistycznych wartości, posiadania wiedzy o świecie dziecka, a także praktycznych umiejętności radzenia sobie w sytuacjach, kiedy doświadczamy przekraczania granic godności i praw. Dzieci są naturalnymi rzecznikami kultury pokoju i przeciwdziałania przemocy. Ich emanypacja i upodmiotowienie mają moc ratowania zdrowia i życia.

W kwestii praw dziecka Polska ma szczególne zobowiązania historyczne i moralne. To bowiem nasz kraj w 1978 roku, na forum ONZ, złożył pierwszy projekt Konwencji o prawach dziecka przyjęty przez Zgromadzenie Ogólne w roku 1989. Konwencja definiuje szereg praw osobistych, publicznych, socjalnych i ekonomicznych. Traktuje dzieci jako równoprawnych uczestników życia społecznego, choć wymagających szczególnej ochrony i wsparcia. Główne zasady Konwencji zakładają kierowanie się najlepiej pojętym dobrem dziecka oraz zakaz dyskryminacji.

Próby precyzyjnego zdefiniowania „dobra dziecka” podjął się w swoim projekcie Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego z 2018 roku były Rzecznik Praw Dziecka dr Marek Michalak. Zaproponował on określenie, że dobro dziecka to „stan, w którym dziecko osiąga prawidłowy, całościowy i harmonijny rozwój psychiczny, fizyczny i społeczny, z poszanowaniem jego godności i wynikających z niej naturalnych praw”.

Bity bije

Kierowanie się wymogami płynącymi z Konwencji, jej uszczegółowień dokonywanych przez Komitet Praw Dziecka ONZ i innych kluczowych dokumentów – w tym art. 72 Konstytucji RP – leży w interesie całej wspólnoty. Jeśli jakość społeczeństwa i jego instytucji mierzy się stosunkiem do najsłabszych grup społecznych, to najbardziej obiektywną miarą tej jakości będzie właśnie podejście do dzieci.

Uwzględnianie w znacznie większym stopniu „dobra dziecka” w projektowaniu rozwiązań społecznych, politycznych i gospodarczych, może przyczynić się do wzmocnienia zaufania społecznego, tworzenia empatycznych organizacji, a przede wszystkim zmniejszenia wielu form przemocy oraz dużej skali zaniedbań wobec osób wymagających opieki. Można powiedzieć, że w rezultacie większą rolę zaczęłyby odgrywać inteligencja emocjonalna, która jest lepszym wskaźnikiem dobrego życia niż przereklamowane IQ.

Eliminacja krzywdzenia dzieci i uznanie ich wartości powinno zaowocować radykalnym zmniejszeniem wszelkich form przemocy w wieku dorosłym, ogromu uzależnień, zaburzeń psychicznych, stresów pourazowych (PTSD) i depresji. Uniwersytet Emory podaje, że ponad 80 proc. osób bitych przez partnerów zmaga się z PTSD. Takie osoby są 3,5 razy bardziej narażone na zaburzenia lękowe, ponad 2,5 razy częściej niż inni cierpią na depresję, 5–6 razy częściej uzależniają się od alkoholu lub narkotyków.

Źródeł przemocy należy zazwyczaj szukać w dzieciństwie sprawców i we wzorcach wynoszonych z domu rodzinnego. Powiedzenie „bity bije” nie jest przesadzone, pokazuje natomiast trudności w uznaniu własnej tożsamości w okresie jej kształtowania się oraz brak umiejętności radzenia sobie z trudnościami bez przemocy. Konsekwencje tego stanu rzeczy są tragiczne.

Ratowanie planety częścią tożsamości

Jednym z obszarów, w których uwzględnianie dobra dziecka leży w interesie nas wszystkich, jest polityka klimatyczna i ochrona środowiska naturalnego. Podjęcie działań naprawczych i kierowanie się kryteriami jakościowymi dopasowanymi do dzieci, znacząco podniosłoby jakość i długość życia wszystkich obywateli.

Według UNICEF w rankingu pokazującym wpływ środowiska na dobrostan dzieci na 39 badanych krajów Polska zajmuje 27. miejsce. W kategorii „świat dziecka”

(bezpośrednie doświadczenia dzieci w zakresie zużycia powietrza, wody, pożywienia, ekspozycji na światło, ciepło, hałas, niebezpieczne substancje) zajmujemy 30. miejsce. W kategorii „świat wokół dziecka” (tereny zielone, mieszkanie, szkoła, ruch uliczny i zagrożenia środowiskowe) zdobyliśmy pozycję 31.

Zajmujemy też czwarte miejsce od końca pod względem wysokiego poziomu zanieczyszczenia powietrza, w którym oddychają dzieci, a przedostatnie w kategorii wysokiego zanieczyszczenia pestycydami. Słaba 32. pozycja przypadła nam także za niebezpieczne źródła wody.

Na uwagę zasługuje także to, że dla ogromnej większości ludzi młodych katastrofa klimatyczna jest tak dojmującym doświadczeniem, że ratowanie planety i życia ludzkiego na niej stało się częścią ich tożsamości. Nieprzypadkowo podczas dyskusji zorganizowanej przez UNICEF jedna z rozmówczyń stwierdziła, że jeśli chodzi o politykę klimatyczną, to w ostatnich latach mamy do czynienia z sytuacją, w której dzieci i młodzież zachowują się jak liderki i liderzy, a politycy odgrywają role zarezerwowane niegdyś dla dzieci.

Postulaty

Co można zatem zrobić, żeby przybliżyć tak rozumianą politykę emancypacji dzieci służącą wszystkim grupom społecznym? Skoncentruję się tylko na kilku najważniejszych rozwiązaniach instytucjonalnych.

1. Wprowadzenie obowiązku oceny projektów ustaw pod względem wpływu na prawa dzieci i ich dobrostan.
2. Wypracowanie metod słuchania głosu dzieci i młodzieży w pracach nad strategiami publicznymi, które bezpośrednio ich dotyczą, np. ustaw oświatowych. Jest pewnym paradoksem, że głos prawie 20 proc. społeczeństwa, a więc dzieci i młodzieży, nie jest uwzględniany w ramach konsultacji społecznych. Prawo do wysłuchania wprowadzone przez Konwencję praw dziecka nie dotyczy jedynie postępowań sądowych. Odpowiedni zapis znajduje się także w Konstytucji RP (art. 72). Praktykę taką stosuje już Komitet Praw Dziecka ONZ monitorujący stan realizacji Konwencji w poszczególnych krajach. Wszystkie oficjalne dokumenty Komitetu konsultowane są według właściwej metodologii z wybranymi grupami dziećmi, a wnioski z tych konsultacji brane są pod uwagę w dalszym toku prac. Wyobrażam sobie możliwość przygotowania odpowiednich ram dla tego rodzaju grup fokusowych i warsztatowych w celu pozyskania informacji od osób, do których przygotowywane rozwiązania są kierowane.
3. Informacje zamieszczane przez instytucje, a mające związek z dziećmi i ich dotyczące powinny być tworzone także w uproszczonej formie, zrozumiałej dla dzieci oraz laików, zgodnie z zaleceniami i praktyką Komitetu Praw Dziecka ONZ oraz UNICEF. Dokładnie w takiej formie funkcjonuje skrócona wersja Konwencji oraz komentarze ogólne precyzujące poszczególne postulaty Konwencji – zob. tutaj.

4. Wprowadzenie edukacji o prawach dziecka do podstawy programowej oraz do systemu kształcenia wyższego i zawodowego dorosłych.

5. Wprowadzenie obowiązku posiadania polityki ochrony dzieci we wszystkich organizacjach i instytucjach mających kontakt z dzieckiem. Taka polityka nie powinna być dokumentem teoretycznym, lecz dopasowanym do specyfiki działania poszczególnych organizacji. Jego celem jest nie tylko postępowanie w sytuacji zgłoszenia, ale przede wszystkim posiadanie przez daną organizację i jej pracowników, w tym urzędników, właściwej wrażliwości i wyczulenia na sygnały płynące od samych dzieci. Praktycy, np. ze Stowarzyszenia Niebieska Linia, zajmujący się przeciwdziałaniem przemocy w każdej formie (seksualna, fizyczna, psychiczna, ekonomiczna, zaniedbanie) podkreślają, że sygnały te są zbyt często lekceważone lub traktowane jako zmyślane.

6. Ratyfikowanie przez Polskę III Protokołu fakultatywnego do Konwencji o prawach dziecka podpisanego przez nas w 2013 roku. Protokół daje obywatelom Polski – dzieciom – możliwość składania skarg bezpośrednio do Komitetu Praw Dziecka ONZ. Niestety, minister rodziny oraz Rzecznik Praw Dziecka w obecnej kadencji jednoznacznie odrzucają taką możliwość, argumentując to wystarczającą ochroną prawną dziecka w Polsce, ryzykiem nadmiernego ingerowania w sprawy krajowe przez ONZ oraz zagrożeniem dla tradycyjnych wartości.

7. Wycofanie się z cytowanej wyżej deklaracji złożonej przy ratyfikacji Konwencji o prawach dziecka. Najwyższy czas na wycofanie się z tego zastrzeżenia, które w swojej istocie zaprzecza prawom definiowanym w Konwencji. Dodam, że jedną z oficjalnych barier w przeciwdziałaniu przemocy wobec dzieci w świecie ONZ uznaje się właśnie tradycyjnie rozumiany status dziecka w wielu krajach. Nie jest to żaden zamach na „polskie wartości” (w powszechnym rozumieniu „tradycyjne” miejsce dziecka w społeczeństwie i w rodzinie oznacza pełne podporządkowanie woli dorosłych). Rzecz w tym, że zmiana podejścia do praw i godności dziecka ewoluuje i nabiera tempa dopiero od czasu przyjęcia Konwencji w 1989 roku. Jeszcze kilka lat temu ponad 70 proc. Polek i Polaków akceptowało kary cielesne. Według ostatnich badań Biura RPD z 2018 r. akceptacja ta wynosiła około 50 proc. Pora wyrazić to także w prawie.

8. Wprowadzenie w życie przygotowanego w trakcie kadencji poprzedniego Rzecznika Praw Dziecka Marka Michalaka Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, który jest dokumentem dającym znacznie większą ochronę prawną dziecku, definiującym wspomniane już „dobro dziecka” oraz zamieniającym znany od dziesięcioleci termin „władzy rodzicielskiej” na pojęcie „odpowiedzialności rodzicielskiej”. Taki zapis podkreśla podmiotowość dziecka, wyjmuje je spod władztwa i koncentruje uwagę na właściwej postawie i relacjach rodziców z dziećmi oraz odpowiedzialności rodziców za zaspokojenie potrzeb dzieci niezbędnych do harmonijnego rozwoju.

Wprowadzenie tego kodeksu dawałoby szansę skończenia z traktowaniem dziecka jako „własności rodziców”.

Wykorzystane publikacje:

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, „Ogólnopolska diagnoza skali i uwarunkowań krzywdzenia dzieci w Polsce”, Warszawa 2018.

A. Golus, „Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja uczy wychowywać dzieci”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022.

M. Jacyno, A. Szulżycka, „Dzieciństwo. Doświadczenie bez świata”, Oficyna Naukowa, Warszawa 1999.

J. Juul, „Twoje kompetentne dziecko”, Wydawnictwo MiND, Podkowa Leśna 2011.

M. Szczepka-Pustkowska, „Od filozofii dzieciństwa do dziecięcej filozofii władzy. Casus władzy (i demokracji)”, Impuls, Kraków 2011.

B. Śliwerski, „Pedagogika dziecka”, Studium Pajdocentryzmu, GWP, Gdańsk 2007.

Raport UNICEF, „Miejsca i przestrzenie. Wpływ środowiska na dobrostan dzieci”, Florencja 2022.

UNICEF, „Prawa dziecka z perspektywy dzieci rodziców i nauczycieli”, Warszawa 2019.

O. Zakolska, „Rzecznik Praw Dziecka przygotował projekt nowego Kodeksu rodzinnego”, GazetaPrawna.pl, 12.08.2018.



| Temat numeru

Mówimy dzieciom jak mają się czuć, uczyć, ubierać. Robimy to samo wobec dorosłych?

Małgorzata Wałejko

Dziecko traktowane jako projekt „tenisista”, „perfekcyjny uczeń”, „katolik” czy po prostu „zawsze szczęśliwe dziecko” nie wie samo, kim tak naprawdę jest i co odczuwa, bo całe życie stara się zadowolić rodziców.

Przyznaję, że temat mnie porusza przez wzgląd na moje doświadczenie bycia mamą. Te sytuacje, kiedy trudne emocje dzieci, ich chandry, nerwy, „dziwne” (według mnie!) opinie, odmienne gusta wywołują we mnie to napięcie, które kusi, by fuknąć, że marudy, że jęczą, psują wszystkim dzień, niech się ogarną, bo przecież nic im się nie dzieje, niech nie gadają głupot, i co to w ogóle za koszula jest! Od lat już pracuję w pedagogice, ćwiczę ze studentami setki sytuacji na warsztatach, a wciąż tak łatwo o błąd, który dziecko zrani.

Ponieważ te złe narracje tkwią w mojej głowie. Walczę, by pozostały tylko tam. Przecież już wiem – i ciągle się uczę – że oni to nie ja.

Odrębna egzystencja

Wstrząśnięci jesteśmy dziś śmiercią 8-letniego Kamilka z Częstochowy, maltretowanego przez ojczyma za przyzwoleniem – jak wiele na to wskazuje – własnej matki. Jest jednak i taka przemoc, która zabija nie ciało, ale ducha. I dzieje się w dobrych domach ze strony zatroskanych rodziców. Wszyscy jesteśmy na nią narażeni, a może wszyscy zostaliśmy już nią skażeni, jak ofiary zombi w „The Last of Us” (ogląda się seriale z nastoletnimi dziećmi...). I tak, analogia trafna: bo sami zostaliśmy ugryzieni. Stąd narracje w naszej głowie.

Aplikuję sobie często to proste ćwiczenie, nim odniosę się do dziecka: czy tak samo powiedziałabym do koleżanki z pracy, do męża czy sąsiadki? Czy czułabym się

uprawniona do sprostowania a priori jej sądu czy skrytykowania uczuć? Nie. Bo, jak pisał Korczak, dorosły jest smutny, ale dziecko skrzywione. Dorosły płacze, a dziecko się maże i beczy. Dorosły robi coś powoli, dziecko się guzdrze. Nadal traktujemy dzieci z mniejszym szacunkiem, niż dorosłych.

Czemu tak jest? Poza wspomnianą już „pamięcią biograficzną”, gdy odruchowo, nim pomyślimy, powielamy słowa i zachowania naszych matek lub ojców, winna jest... pedagogika. To ona dała dorosłym mandat, by stwarzać dzieci (urabiać, kształtować, formować) wedle ich własnego pomysłu. Bo przecież dorośli wiedzą lepiej.

Kocham Jespera Juula, który wskazywał, że istotnym źródłem przemocy psychicznej w wychowaniu jest czynienie z dziecka własnego projektu. „Dzieci muszą pozostać odrębnymi istotami i egzystencjami” – apelował duński terapeuta.

„Osobisty projekt” rodzica to obiekt, któremu, a jakże, poświęca się wiele uwagi, nie będącej jednak zdrową miłością, a nadmiernym przywiązaniem. Nie pozwalamy dziecku być „osobną osobą”: projektujemy swoją wizję jego życia i osoby na jego życie i osobę. Ma być takie, jak my chcemy.

Tutaj rodzic wie lepiej, co dziecko powinno czuć: „To niegrzecznie się złościć, proszę się uspokoić”; „Maruda z ciebie, cały dzień skrzywiona”; „Ogarnij się, ciągle tylko płaczesz jak mała dzidzia”; „Boisz się os, więc nie chcesz

wyść? To głupie, proszę natychmiast do ogrodu”; „Coś ty, ta gra jest fajna”.

W „słodszej” wersji projektu nie pozwalamy dziecku na smutek, bo my chcemy, by stale było szczęśliwe: „Jesteś smutny, o nie! Zaraz pozbędziemy się smutku”. A dzieci powinny mieć możliwość odczuwania smutku, ponieważ życie nie polega na byciu szczęśliwym przez cały czas. Tu rodzic ŻYJE samopoczuciem dziecka, nie dając ani sobie, ani jemu odrębnej przestrzeni. Gna, by spełniać zachcianki. Pełni wartość wiecznego dobrostanu.

Tu nasze opinie są mądrzejsze niż opinie dziecka. My wiemy lepiej, z kim ma się przyjaźnić, co ma lubić, co i kiedy jeść, jakie ma mieć stopnie, jak ma się ubierać. Na jakie zajęcia pozalekcyjne chodzić. Jaką szkołę i studia wybrać.

A może ono wcale nie chce studiować? Może nie lubi się uczyć? Czy musi lubić? Może chce mieć trójki, a nie piątki. Musi zostać magistrem? Nie może być szczęśliwsze jako kierowca autobusu lub piekarz? Mój mąż, inżynier, wciąż się rozczuła na widok dobrej stolarskiej roboty lub krawieckiego kunsztu. „Kiedyś jeszcze będę stolarzem. Albo krawcem” – snuje sen z młodości.

Powiem ci, kim jesteś, bo to mój obowiązek

Pewna rodzina rozważała zmianę wyznania. A ponieważ przypadał akurat rok, gdy jedno z dzieci miało przystąpić do Pierwszej Komunii, zastanawiali się, czy poczekać, by

synek przyjął ją z dziećmi z klasy, czy już z tego zrezygnować. Rozmawiali o tym z pastorem, przedstawiając swoje wahanie. On spytał: „A co Szymek o tym myśli? Czego on chce?”. Widząc konsternację na ich twarzach, zapytał: „Pytaliście go?”. Nie pytali.

Bo projektowi rodzice lepiej wiedzą (stwarzając je na własną modłę), jaką dziecko ma wyznawać religię. Jakie ma mieć poglądy, jaką orientację seksualną.

Projekt „tenisista”, „perfekcyjny uczeń”, „katolik” czy po prostu „zawsze szczęśliwe dziecko” samo nie wie, kim tak naprawdę jest i co odczuwa, bo całe życie stara się zadowolić rodziców. Ono nie ma szans dowiedzieć się, kim jest. Samodzielnie zdecydować, kim jest.

Jakiś czas temu sprzeciwiłam się zdaniu, że najważniejsze dla wierzącego rodzica jest „doprowadzenie dziecka do Chrystusa”. Mój sprzeciw wywołał niemałą dyskusję. Nic dziwnego, bo katolickie małżeństwa w momencie ślubu i chrztu dziecka wyrażają świadomość „obowiązku wychowania dziecka w wierze”.

Zastanawia mnie, jak to dokładnie miałyby wyglądać, gdy dziecko, na przykład nastoletnie, tego nie chce. Co z tym obowiązkiem zrobić? Przecież w świetle filozofii personalizmu, gdzie o wartości samostanowienia pisał m.in. Karol Wojtyła, obowiązek ów zdaje się nie licować z godnością i wolnością osoby. Przyznaję, że z czasem, obserwując jak rosną moje dzieci, coraz bardziej przekonuję się, że najważniejsze to z szacunkiem pozwalać im

w sposób wolny stanowić o swoich poglądach. Jak ostatnio w Szczecinie powiedział ks. prof. Tomáš Halík: „Duchowe towarzyszenie nie może być agitacją religijną”.

Tak, wyższą od wartości wiary jest wartość wolnej decyzji dziecka. Przecież to Bóg dał nam z miłości wolną wolę, bo chce naszych wolnych wyborów. Na kartach Pisma pyta często: „Czy chcesz?”. Jako rodzice możemy być w tym podobni, by dzieci wybierając, uczyniły to w wolności, kierowane potrzebą poznania Boga, a nie chęcią spełnienia naszych oczekiwań.

Tylko wybór wolny, kiedy dzieci posiadają pełną możliwość odmowy, ma jakąś wartość. Poza tym, co robi rodzina, gdy dziecko wybierze ateizm lub jest osobą homoseksualną? Chyba nie wyrzuci dziecka z domu? I nie będzie stale tego wypominać, bo je straci. To pokazuje, że dzieciom trzeba pozwolić na wolny wybór, co oznacza: kochać je bezwarunkowo. Jak Bóg.

Krótkie słowo „nie”

Najważniejszym sposobem, by nie traktować dzieci jako własnego projektu, jest szanowanie ich uczuć, perspektywy myślenia czy ocen dokładnie tak samo, jak szanujemy je u dorosłych.

Jednak ciekawe, że doradzając, jak uchronić się przed byciem projektowym rodzicem, Juul wskazuje również na to krótkie słowo: „nie”. Bo fundamentalny szacunek dla osobności dziecka, o którym tutaj piszę, bynajmniej nie

stoi w sprzeczności z przywództwem dorosłego. Wręcz przeciwnie!

Dziecko–projekt jest często przyzwyczajone, że jego potrzeby są najważniejsze. Mama ma się teraz bawić. Ma rzucić wszystko i zrobić kakao. Ciocia ma wstać z krzesła, bo to jego ulubione miejsce. Nie przyjdzie na jubileusz dziadków, bo ma potrzebę być na imprezie z kumplami. To tutaj dzieci potrzebują przewodnika, który wkracza, gdy komuś dzieje się krzywda.

Mówiąc „nie”, i to od najwcześniejszego wieku dziecka, pokazujemy mu, że nasze (i innych) potrzeby również są ważne. To konieczne dla rozwoju empatii. Co ciekawe, działa tu zasada wzajemności. Mówiąc dziecku „nie”, daję mu prawo do jego „nie”. A to „nie” dziecka pomaga mi poznawać powody i motywy niechęci, z której ono wynika, oraz w rozmowie szukać rozwiązań, uwzględniać potrzeby i uczucia innych. Kiedy zaś mówię dziecku, co czuję w związku z jego krzywdzącym zachowaniem, daję mu prawo do wyrażenia jego uczuć w związku z moim zachowaniem, które je zraniło czy zezłościło. Wzajemny szacunek buduje się na respekcie wobec potrzeb drugiego.

Wasze dzieci nie są waszymi dziećmi

Alert współczesnych filozofów wychowania jest niezwykle spójny: biją na alarm wobec opisanych wyżej postaw oraz przekonań. I wtórują Gibranowi, który przypominał:

„Wasze dzieci nie są waszymi dziećmi,
Są synami i córkami Życia, które pragnie istnieć. [...] Możecie obdarzyć je waszą miłością, lecz nie waszymi myślami.

Ponieważ mają swoje własne myśli.

Możecie dać schronienie ciałom ich, ale nie duszom.

Bo ich dusze zamieszkują dom jutra, do którego nie możecie wstąpić nawet w snach”.

WIEŻ**POD
CAS
TY****KATARZYNA
JABŁOŃSKA
Oto człowiek****|** Podcast

Pomagać, czyli dawać przestrzeń

Katarzyna Jabłońska w rozmowie z s. Anną Bałchan

Jak pomagać, żeby potrzebujący czuli własną sprawczość? Co w sytuacji, kiedy konkretna pomoc nie jest możliwa? W podcaście „Oto człowiek” Katarzyna Jabłońska rozmawia z s. Anną Bałchan.

Nagranie można odsłuchać pod tym adresem



| Kościół

Wszyscy siedzieliśmy pod ścianą. Po spotkaniu pokrzywdzonych z biskupami

Zbigniew Nosowski

Spotkali się nie tyle biskupi z pokrzywdzonymi, ile człowiek z człowiekiem – mówią Tośka Szewczyk, Robert Fidura i Jakub Pankowiak.

Wczoraj, 19 listopada 2024 r., na Jasnej Górze odbyło się spotkanie polskich biskupów katolickich z delegacją sygnatariuszy listu otwartego wystosowanego w maju br. przez 46 osób

skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele.

Poniżej rozmowa z inicjatorami listu otwartego oraz uczestnikami spotkania w Częstochowie: Robertem Fidurą, Jakubem Pankowiakiem i Tością Szewczyk.

Zbigniew Nosowski: Wiem, jak ważne było dla Was to spotkanie oraz jak wiele czasu i wysiłku poświęciliście na jego odpowiednie przygotowanie. Spytałem wprost: warto było?

Robert Fidura: Żeby przyjechać do Częstochowy na czas, musiałem wstać o trzeciej rano. Po spotkaniu padałem ze zmęczenia. Ale zdecydowanie warto było. Rozmowa okazała się bardzo otwarta i szczerą, a jednocześnie niezwykle emocjonującą. Spotkanie wręcz przeorało emocje wielu uczestników, to było widać po twarzach.

Na pewno – skoro chcemy dalej być w tym Kościele i mówimy, że to nasz Kościół – trzeba było podjąć poważną próbę, czy uda się doprowadzić do spotkania całej Konferencji Episkopatu Polski z osobami, które we wspólnocie wiary doświadczyły z rąk duchownych wykorzystania seksualnego. No i udało się! Czyli warto było!

Tośka Szewczyk: Mam poczucie, że było to spotkanie przez wielkie S, czyli takie, na którym obie strony są gotowe wzajemnie siebie usłyszeć. My rzeczywiście mieliśmy poczucie bycia usłyszanymi. Z ust biskupów padały komentarze typu „Już bardziej rozumiem, dlaczego to dla Was takie ważne” albo „Rzeczywiście robiliśmy

do tej pory to, co trzeba, ale niekoniecznie wszystko, co można”. Kilukrotnie padły też przeprosiny.

Co więcej, obie strony bardzo mocno pracowały na to wielkie S. A dla mnie kluczową wartością tego spotkania jest fakt, że spotkali się nie tyle biskupi z pokrzywdzonymi, ile przede wszystkim człowiek z człowiekiem. Wiem, jak górnolotnie to brzmi, ale tego doświadczyłam.

Nie umiem tego jeszcze dokładnie nazwać ani opowiedzieć, ale miałam wrażenie, że tam się dokonało coś świętego. Na pewno było to także wydarzenie duchowe, a nie tylko rozmowa. W tym, jak siebie słuchaliśmy i jak do siebie mówiliśmy, był jakiś element nadprzyrodzony. Zatem bez wątpienia warto było.

Jakub Pankowiak: Również jestem przekonany, że warto było. To jest wydarzenie historyczne. Przed spotkaniem mieliśmy sporo obaw (biskupi zapewne też). A tu okazało się, że po drugiej stronie też są ludzie, z którymi można prowadzić dialog i dojść do – przynajmniej częściowego – zrozumienia. Różnice pozostają duże, ale w niektórych sprawach wręcz z dwóch stron zrobiła się jedna.

Nam udało się przekazać wszystkie postulaty, które przygotowaliśmy i uzasadnić nasz punkt widzenia. Biskupi to usłyszeli i, jak sądzę, zrozumieli. A ja ze swej strony zacząłem rozumieć, z czym oni się mierzą, chcąc funkcjonować w ramach prawa kanonicznego i państwowego. Patrząc z perspektywy biskupa diecezjalnego, to duże wyzwanie.

Takie wzajemne zrozumienie to bardzo ważny punkt wyjścia w dalszą drogę, oby już bardziej wspólnie.

Jak licznie zjawili się biskupi na tym spotkaniu?

Tośka Szewczyk: Ktoś policzył dokładnie. Było ich siedemdziesięciu czterech. Spotkanie z nami odbywało się po zakończeniu obrad KEP, a przed rozpoczęciem rekolekcji dla biskupów. Nie było to więc spotkanie obowiązkowe, bo nie było częścią obrad. Ale jedynie pojedynczy hierarchowie, którzy wzięli wcześniej udział w zebraniu KEP, nie przyszli na spotkanie z nami.

Jakub Pankowiak: Nasz pierwotny postulat brzmiał nawet inaczej. Oczekiwaliśmy, żeby spotkanie ze skrzywdzonymi było częścią obrad KEP. Biskupi zaproponowali jednak ten czas pomiędzy obradami a rekolekcjami, a my to zaakceptowaliśmy. I okazało się, że to nie miało znaczenia ani dla frekwencji, ani dla przebiegu spotkania.

A jak wyglądała sala? Podobno siedzieliście w kręgu?

Robert Fidura: Tak, chodziło o to, żeby nie było żadnego prezydium, lecz przestrzeń spotkania. Byli dwaj uzgodnieni moderаторzy: ks. Piotr Studnicki i mec. Krzysztof Bramorski. Dzięki dobremu przygotowaniu wydarzenia nie musieli jednak gasić żadnych pożarów.

Bardzo znaczący jest fakt, że przygotowano mniejszą liczbę krzeseł niż przyszło uczestników. Trzeba było kilka razy donosić krzesła i poszerzać okrąg, a ciągle był kłopot, żeby się wszyscy zmieścili i nikt nie siedział w drugim

rzędzie. W końcu wszyscy siedzieliśmy, nomen omen, pod ścianą...

Jakub Pankowiak: Pomysł na spotkanie w kręgu wypłynął od nas. Nie chcieliśmy, żeby to spotkanie przebiegło na zasadzie wykładu, że my będziemy opowiadać o swojej krzywdzie, a oni będą słuchać i na końcu powiedzą, że jest im bardzo przykro. Chcieliśmy usiąść w kręgu, żeby każdy był na tej samej wysokości i żebyśmy mogli spotkanie odbyć w formie dialogu. I tak się rzeczywiście stało.

Tośka Szewczyk: A ja przed rozpoczęciem spotkania przesadziłam pięciu biskupów, których znałam osobiście. Poprosiłam, żeby usiedli bezpośrednio przede mną. I wiedzieli, że mają jasne zadanie: uśmiechać się do mnie (*śmiech*).

Żebyś mogła czuć się bezpiecznie?

Tośka Szewczyk: Tak. Bo spotkanie zaczęło się od mojego świadectwa. Mówiłam o krzywdzie, uzdrowieniu, zmaganiu i nadziei. Opowiedziałam i o wykorzystaniu seksualnym, i o działaniu Boga w moim życiu, i o ciężkich doświadczeniach związanych z procesem kanonicznym, i o nadziei na wspólną drogę.

Jakub Pankowiak: Ja nawet miałem wątpliwości co do takiego rozpoczęcia, ale okazało się, że dla części biskupów niesłuchanie ważna była możliwość wysłuchania tej opowieści Tośki. Po prostu wielu z nich nadal nie miało możliwości tak bezpośredniego spotkania z tą krzywdą, więc było im to niezbędne. I być może dzięki

temu późniejsza rozmowa na temat naszych postulatów była naprawdę rzeczowa i konkretna, choć niełatwa.

Tośka Szewczyk: Moją uwagę zwrócił fakt, jak znacząco różniła się liczba biskupów, którzy się z nami osobiście przywitali, od liczby tych, którzy się z nami pożegnali. Tych osobistych pożegnań (i podziękowań) na końcu było kilkadziesiąt, czyli co najmniej trzy razy więcej niż na początku. Okazało się zatem, że chcieli rozmawiać.

Znamienne też, że zapowiadano nam przed spotkaniem, iż na pewno nie może ono trwać dłużej niż do 17.30, czyli dwie i pół godziny, a zakończyło się po 18.00.

Powiedziałeś, Robercie, na briefingu prasowym bezpośrednio po spotkaniu, że w pewnym sensie wzięliście biskupów za ręce...

Robert Fidura: ...i teraz zaczynamy iść razem do przodu. Nie wiem, gdzie ten przód jest, ale pierwszy wspólny krok został wykonany.

I tu mamy paradoks. To Wy prowadzicie pasterzy, a nie oni Was. I co więcej, oni musieli się zgodzić na to, że weźmiecie ich za ręce...

Robert Fidura: Patrzyłem zwłaszcza na tych, którzy siedzieli naprzeciwko mnie. Mogłem obserwować ich twarze, ich reakcje. I wyraźnie odniosłem wrażenie, że rozumieją to, co do nich mówiliśmy.

Tośka Szewczyk: Wydaje mi się, że sytuacja kryzysu Kościoła w Polsce doprowadziła do tego, że czasami

przynajmniej niektórzy z biskupów wewnętrznie czują się bardziej jak owce niż jak pasterze. Usiłuję w ten sposób powiedzieć, że oni mają świadomość i rangi wyzwania, jakie przed nimi stoi, i swojej bezradności, bo dotychczasowe sposoby działania pasterskiego już się nie sprawdzają. No więc pozwolili się wziąć za rękę...

Teraz operujecie wielkim kwantyfikatorem „biskupi”, a wiadomo przecież, że oni są bardzo różni. Tam siedzieli również tacy hierarchowie, z którymi każde z Was miało w przeszłości na bakier, bardzo delikatnie mówiąc, wręcz doświadczaliście od nich dokrzywdzania. Czy różnice między biskupami zanikają? Czy następuje realna przemiana? A może to Wy mówicie pod wpływem emocji? Albo że oni szczerze reagowali wczoraj poruszeniem, ale potem w praktyce nic z tego nie wyniknie? A może gdzieś z boku siedzieli tacy, którzy myślą zupełnie inaczej?

Tośka Szewczyk: Oczywiście w szczerą rozmowę włączyła się jedynie część biskupów, nawet nie potrafię powiedzieć, jak duża. Gdyby każdy miał coś od siebie powiedzieć, to siedzielibyśmy tam przez całą noc. Była więc milcząca większość. I różne mogły być powody tego milczenia. Mogli milczeć, bo się zgadzali z tymi, co zabierali głos. Albo się nie zgadzali, lecz bali się odezwać.

Taka nowa eklezjalna poprawność?

Tośka Szewczyk: Niewykluczone. Ale to też o czymś pozytywnym świadczy – przede wszystkim właśnie o zmieniających się proporcjach.

Zresztą w ciągu ostatniego roku sama tego doświadczyłam. Gdy przed rokiem wysyłałam biskupom talerz skrzywdzonych wraz z listem, osobiście znałam tylko dwóch, z którymi mogłam na ten temat szczerze rozmawiać. Przez następne miesiące odzywali się do mnie kolejni hierarchowie, więc w moim osobistym doświadczeniu z dwóch zrobiło się dwunastu – i wszystkich mogłam uznać za sojuszników naszej sprawy.

Myślę, że po tym spotkaniu jest ich jeszcze przynajmniej kilkunastu więcej. Oczywiście to nadal nie jest cały episkopat, ale tendencja jest wyraźna. Łatwiej patrzeć w przyszłość z nadzieją.

W liście otwartym skrzywdzonych przedstawialiście także konkretne postulaty. Na ile udało się porozmawiać wczoraj o konkretach?

Jakub Pankowiak: Czas przewidziany na to spotkanie był w sumie krótki. Postawiliśmy więc sobie trochę inny cel: chcieliśmy doprowadzić do takiego rodzaju wzajemnego zrozumienia, które utoruje drogę do wspólnej pracy w przyszłości – tak, żeby to spotkanie stało się „trampoliną”, z której będziemy mogli wszyscy odbić się we wspólną pracę w przyszłości.

Ale bardzo jasno mówiliśmy o wszystkich naszych postulatach. Stanowczo podkreśliliśmy, jakie są nasze oczekiwania odnośnie niezależności komisji interdyscyplinarnej. Co do tego – nie było na sali wątpliwości. Dyskusja zrodziła się w momencie rozmowy o udziale

osoby skrzywdzonej w pracach komisji oraz o terminie jej powstania. Była to jednak dyskusja merytoryczna.

Robert Fidura: Bo my doskonale wiemy, że ta komisja historyczna powinna tak naprawdę powstać ze 20 lat temu...

Podkreśliliśmy również, że już teraz – bez potrzeby zgody ogólnopolskiej czy zmiany prawa kanonicznego – biskupi mogą w swoich diecezjach podejmować ważne decyzje. Na przykład w archidiecezji katowickiej od 2020 r. są dwie osoby powołane na funkcję rzecznika praw osób skrzywdzonych. Czyli udało się tam powołać taką diecezjalną instytucję. My zaś pokazywaliśmy, jak wielki potencjał dobra tkwi w stworzeniu takiego organu w Kościele – zwłaszcza że zachęca do tego także Papieska Komisja ds. Ochrony Małoletnich.

Tośka Szewczyk: W diecezjach biskupi samodzielnie mogą też wdrażać w systemy pomocowe kompetentne kobiety oraz zacząć stosować listę dobrych i złych praktyk, którą im przekazaliśmy. Również już teraz, bez zmiany prawa, mogą zacząć docierać do osób skrzywdzonych, o których wiedzą z mediów. Niektórzy z nich sami zresztą podali bardzo dobre przykłady tego, w jaki sposób już to robią.

Wskazywaliśmy, że sytuacją idealną byłoby, gdyby tego typu spotkania miały miejsce cyklicznie w każdej diecezji. Nie z nami, broń Boże, bo my reprezentujemy tylko sygnatariuszy listu otwartego, a nie wszystkich skrzywdzonych w Polsce. Pokazywaliśmy biskupom, że ich

otwarcie na codzienne relacje z osobami pokrzywdzonymi, które wyrażą taką wolę – na włączenie pokrzywdzonych w kształtowanie obrazu diecezji – mogłoby sprawić, że wiele akcji ogólnopolskich można by już odpuścić.

Jakub Pankowiak: Podkreśliliśmy, że będziemy dalej konsekwentnie upominać się o zawieszenie abp. Tadeusza Wojdy w pełnieniu funkcji przewodniczącego KEP, co najmniej dopóki wierni w Polsce nie uzyskają oficjalnej informacji na temat statusu tej sprawy. Przecież postępowanie wyjaśniające zostało wszczęte już osiem miesięcy temu, a dzięki „Więzi” sprawa stała się znana publicznie, więc najwyższa pora na oficjalne informacje.

Naszym zdaniem osoba publiczna, na której ciąży tego typu podejrzenia, powinna sama dążyć do zawieszenia swej funkcji i bezstronnego wyjaśnienia sprawy. To nie jest atak na osobę abp. Wojdy, lecz wskazanie standardu, który powinien obowiązywać w życiu publicznym, także w życiu Kościoła.

Robert Fidura: Rozmawialiśmy też o krzywdzie bezbronnych dorosłych. Wskazywaliśmy, jak ważne jest uznanie przez biskupów (nie tylko w prawie kanonicznym, ale też w sercach) tej krzywdy. Powiedzieliśmy, jak ważne są działania edukacyjne w tej dziedzinie i że działania te powinny obejmować nie tylko osoby związane z systemem sprawiedliwości, ale całą wspólnotę Kościoła.

A co z postulatem upodmiotowienia osób zgłaszających krzywdę w prawie kanonicznym? Delegacja synodalna KEP

zawiozła przygotowany przez Was projekt reformy prawa na watykański Synod Biskupów. Czy biskupi byli w tej sprawie tylko listonoszami?

Tośka Szewczyk: Z ich opowieści zdecydowanie wynika, że nie. Wyraźnie utożsamili się z tym postulatem.

Jakub Pankowiak: Zresztą również inni biskupi, prowadząc postępowania w swoich diecezjach, widzą, że zmiana w tej sprawie jest niezbędna. Nie wystarczą jednak rozmowy zakulisowe. Nadal będziemy apelować o wystosowanie w imieniu Konferencji Episkopatu Polski listu do Stolicy Apostolskiej w celu poparcia idei zmian w prawie kanonicznym (m.in. nadania pokrzywdzonym statusu strony).

Zresztą i na dzisiejszym spotkaniu miałem świadomość odczuwalnego strachu wśród niektórych biskupów przed głębokim zaangażowaniem osób skrzywdzonych w życie Kościoła. Im łatwiej traktować nas jako jakiś „element”, z którym pewne rzeczy trzeba konsultować, ale nadal nie chcą nas potraktować poważnie – jako ludzi, którzy mogliby równoprawnie brać udział w budowaniu rzeczywistości eklezjalnej w Polsce. Wciąż trochę się nas boją.

Robert Fidura: Ten problem dotyczy nie tylko polskiego episkopatu, ale chyba w ogóle biskupów na całym świecie. Oni reagują najczęściej na zasadzie gaszenia trwającego pożaru. Nie potrafią myśleć wyprzedzająco, planować działań, liczą, że jakoś się uda... Nie umieją działać po partnersku.

Tośka Szewczyk: Owszem, czuć było takie obawy. Ale sądzę, że znaczna część z nich zniknęła po wczorajszym spotkaniu. A wręcz równie wyraźnie słychać było inne głosy: biskupów gotowych na traktowanie nas w sposób poważny, podmiotowy i partnerski.

Dlatego szczególnego znaczenia nabiera jedno zdanie z Waszego listu otwartego – to, w którym piszecie: „w wielu polskich diecezjach pokrzywdzeni wciąż traktowani są przedmiotowo”. Być może cały paradoks tego spotkania polega na tym, że Wy potraktowaliście biskupów podmiotowo, jak braci – choć macie wiele powodów, by tylko wylewać im swoje słuszne żale. I to zadziało... Dziękuję Wam za tę lekcję dialogu i chrześcijaństwa!



| Kultura

Przyjaźń, czyli najlepsze na co nas stać

Monika Kostera

Dzięki przyjaźni człowiek jest stanie wznieść się ponad interes własny, ambicje, relacje rodzinne i uwarunkowania – to, co człowiek „musi”, co „koniecznie chce”, czego „nie może”. Przyjaźń wkłada klin między podmiot a te determinacje.

Rut nie musiała pozostać z Naomi. A jednak jej słowa są jedną z najmocniejszych deklaracji między dwiema osobami, jakie padły w całej tradycji Starego Testamentu:

„Nie nalegaj na mnie, abym cię opuściła, powróciła i nie szła z tobą. Bo dokąd pójdziesz i ja pójdę, a gdzie pozostaniesz, tam i ja pozostanę” (Rut 1:16).

Naomi była jej teściową. Po śmierci męża, Rut nie była już zobowiązana do dzielenia losów jego rodziny, mogła wrócić do swoich, co też zrobiła druga synowa Naomi. Jednak zdecydowała zostać: „twój lud będzie moim ludem, a twój Bóg będzie moim Bogiem. Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę – tam zostanę pochowana” (Rut 1:17).

Achilles nie musiał wpadać w rozpacz po śmierci Patroklesa, nie musiał podejmować decyzji o powrocie na pole walki, mimo ostrzeżenia, że zginie, jeśli to zrobi. Jednak wrócił i zginął. Zgodnie ze swoją wolą, kości ich dwóch zostały zmieszane i pochowane razem. Byli żołnierzami, towarzyszami podległymi temu samemu dowódcy. Nic nie zobowiązywało ich do takiego oddania. Jednak Achilles podjął taką właśnie decyzję.

Michel de Montaigne nie musiał poświęcać czasu i uwagi na wspomnienie Étienne de La Boétie. Mógł zająć się budowaniem swojej własnej sławy i znaleźć sobie innych przyjaciół. Jednak wciąż o swoim zmarłym przyjacielu myślał i jemu poświęcił „Esej o przyjaźni”, w którym twierdzi, że przyjaciele nie da się nigdy, nikim innym zastąpić.

Przyjaźń straciła na znaczeniu?

Przyjaźń to najlepsze, na co nas stać. W przyjaźni w pełni wyrażamy nasze człowieczeństwo, dokonujemy stale

wzajemnie dobrowolnego wyboru – na tak głębokim poziomie, jak w podanych przykładach – albo w bardziej powszednim, jak wtedy, gdy decydujemy się kupić owoce na targu od zaprzyjaźnionej sprzedawczynie, a nie od obcej osoby, która ma towar tańszy i bardziej wypucowany. Noemi była teściową Rut. Achilles i Patrokles byli kompanami z wojska, może kochankami. Montaigne i La Boétie byli kolegami z pracy w sądzie, filozofami, możliwe, że się kochali.

O przyjaźni dużo opowiadano i pisano od zarania ludzkości. Opowiada o niej między innymi „Epos o Gilgameszu”. Gdy Enkidu został uwięziony w zaświatach, jego przyjaciel Gilgamesz błagał bogów, by mógł zobaczyć się ze swoim druhem, co w końcu mu się udało – przyjaciele mogli porozmawiać ze sobą jeszcze raz. Przyjaźń otworzyć mogła nawet drzwi królestwa zmarłych. W starożytności i w średniowieczu więzi przyjacielskie należały do najmocniejszych więzi międzyludzkich.

Jeszcze w czasach elżbietańskich pytanie, czy ważniejsza jest miłość, czy przyjaźń, było częstym tematem debat intelektualnych (i co najmniej dwóch sztuk Szekspira). Arystoteles uważał, że nikomu nie chciałoby się żyć bez przyjaciół, nawet gdyby ktoś miał wszystkie inne dobra – bo po co komu bogactwo, jeśli nie można się nim podzielić? To pytanie adresowane jest także do nas, ludzi czasów późnego neoliberalizmu.

Ekonomista Robert Skidelsky i filozof Edward Skidelsky w swojej książce z 2013 roku pod tytułem „How much is enough?” (tłum. własne „Jak wiele wystarczy?”) rozważają ideę dobrego życia, która przez tysiąclecia była jedną z najistotniejszych dla rodzaju ludzkiego, a obecnie ustąpiła miejsca takim wartościom, jak sukces, bogactwo, czy przedsiębiorczość. Autorzy przypominają, że wszystko to, czego nigdy nie ma się dość i zawsze pragnie więcej, nie może być wartością dającą ukojenie, czy oferującą poczucie sensownego życia. Przyjaźń może i straciła dzisiaj na znaczeniu, jest jednak nadal ważną częścią dobrego życia.

Które przyjaźnie są wartościowe?

Arystoteles wyróżniał kilka rodzajów przyjaźni: istnieją przyjaźnie pożyteczne, przyjaźnie dla przyjemności i te dla wspólnego dobra. Trzeci rodzaj jest najgłębszy, ale wszystkie trzy są zdaniem filozofa niezbędne. Montaigne cenił tylko tę najgłębszą, najsilniejszą, wiążąca ludzkie dusze – jego zdaniem taki przyjaciel odgrywa wiele różnych ról i dzięki temu przyjaźń jest relacją pełną, kompletną.

Współczesny francuski filozof, Frédéric Lenoir, również szczególnie ceni taki głęboki typ przyjaźni, będący darem bezustannie tworzonej wzajemności, która pozwala odczuwać radość z obecności, z istnienia drugiej osoby – dokładnie takiej, jaką ona jest.

Przyjaźń bezinteresowna, nie zawłaszczająca, lecz pragnąca autonomii przyjaciółki, nie ogranicza, lecz wyzwala. Jednak dla Léoira, podobnie jak dla Arystotelesa, wszystkie typy przyjaźni są ważne. We wszystkich chodzi nie tylko o życzliwość, ale o jakąś gotowość do wzajemnych poświęceń. Dla bliskiej przyjaciółki poświęcę, tak jak Rut, możliwość dostatniego życia. Dla znajomej sprzedawczynie na targu – z pewnością tego nie zrobię, ale wydam trochę więcej pieniędzy na zakup owoców, a jabłka, które od niej kupię, będą mniej błyszczące, niż gdybym je kupiła z innego straganu.

Jednak heterodoksyjni ekonomiści, tacy jak Debjani Kanjilal, Azam Bejou i David Bejou podkreślają, że współczucie jest brakującym ogniwem w głównych teoriach ekonomicznych, podczas gdy, być może, ważniejsze jest poczucie altruizmu jako cechy racjonalnego zachowania. Ekonomia współczucia i zaufania ma bardziej solidne podstawy.

Słowo „merytokracja” zostało po raz pierwszy użyte przez socjologa Michaela Younga w 1958 roku na określenie dystopijnego systemu, pozbawionego ludzkich cech i całkowicie mechanicznego, generującego ostre podziały społeczne na „lepszych” i „słabych”. Słabsi są w nim wykluczani i sprowadzeni do statusu podklasy. Jak każde hierarchie pozbawione ludzkich więzi, ta jest niesprawiedliwa społecznie, tworzy niezgodę, niszczy solidarność. W dodatku normalizuje wszelkie niesprawiedliwości,

głosząc, że „lepsi” rzeczywiście są lepsi, bo stale osiągają lepsze wyniki.

Bez współczucia jesteśmy zdani na samych siebie – i na mechaniczne hierarchie, jak merytokracja. Profesor zarządzania Peter Frost pisze, że:

„Współczucie jest więzią z ludzkim duchem, z ludzką kondycją. W miejscach pracy jest cierpienie i ból, jest też radość i spełnienie. Istnieje potrzeba godności i poczucia szacunku w środowiskach pracy. W takim stopniu, w jakim nasze teorie, modele i praktyki ignorują te wymiary, zniekształcają one nasze rozumienie tego, jak wygląda życie ludzi w miejscu pracy. Patrzenie na organizacje przez pryzmat współczucia ukazuje ten «zagubiony świat»”.

Reguły konkurencji i zdrada neoliberalizmu

Również obecnie istnieją miejsca pracy, gdzie przyjaźń jest ważną częścią organizacji pracy. Przez osiem lat prowadziłam etnograficzne badania polskich i brytyjskich organizacji alternatywnych, takich jak spółdzielnie czy firmy nastawione na realizację większej ilości celów niż te wyłącznie ekonomiczne. Relacje międzyludzkie, a szczególnie przyjaźń, były stawiane w centrum. Często słyszałam i obserwowałam, jak możliwość angażowania się w więzi przyciąga ludzi do tych organizacji i sprawia, że czują się w nich jak u siebie.

Spółdzielczyni mówiła mi: „Spółdzielnia zaskoczyła mnie bardzo pozytywnie [...] dla mnie cały sens pracy tu to ludzie. Fantastyczni ludzie, którzy robią razem różne rzeczy, różne dobre rzeczy. I dzięki temu też mam poczucie, że robię coś dobrego dla siebie i innych”.

Spółdzielca z kolei zapewniał: „Czasami robię rzeczy dobrze, czasami słabiej. Ale staram się, bo to jest moja odpowiedzialność, jak coś spieprzę, to utrudnię pracę innej osobie. Przyjaźnimy się tutaj, to jest nasza odpowiedzialność. Nie można robić rzeczy byle jak, chociaż oczywiście można się pomylić i coś spieprzyć niechcący. Ale to co innego”.

Spółdzielnią bardzo trudno się zarządza, ludźmi rozwijającymi głębokie więzi – ciężko manipuluje. Może dlatego neoliberalizm nie ufa przyjaźni. Co więcej, widzi w niej okazję do lukratywnej transgresji. Zasoby pozyskuje się często przez bezwzględną konkurencję pozbawioną zasad. Traktuje się jako „przedsiębiorcze” osoby, które umieją odpowiednio wykorzystać czyjąś nieuwagę, spowodowaną na przykład tym, że nie spodziewała się ataku z jakiejś strony – na przykład, przyjaciela z pracy. Formy przemocy, nawet fizycznej, i łamania zaufania, także między bliskimi osobami, akceptowane są nawet w ramach formalnych procedur – jeśli polegają na „zarządzaniu zmianą”.

Tłumaczy się to często konkurencją i jej wymogami. Nawet jeśli nie jestem entuzjastką konkurowania, to dzięki mojej przyjaciółce wiem, że polega ono na czymś

zupełnie innym – w ramach ściśle ustalonych reguł prowadzi się rozgrywki demonstrujące umiejętności, styl, szczęście. Reguły te chronią osoby stające do potyczki, zabezpieczają przed grą nie fair i przede wszystkim osłaniają to, co najbardziej wrażliwe – ludzką godność i więzi międzyludzkie. To, co neoliberalizm nazywa „przedsiębiorczą konkurencją”, często jest przemocą wobec przyjaźni – czyli zdradą.

Zdrada (Judasza, Brutusa i innych) powoduje erozję zaufania, bez którego żadne instytucje społeczne nie są w stanie działać. Ze zdradą wspólnej sprawy można sobie jakoś radzić – przez ceremonialne wydalenie osoby, która się jej dopuściła. Na zdradę w miłości są sposoby takie, jak rozwód lub terapia par. Wobec zdrady przyjaciela człowiek jest bezsilny.

Chodzi w końcu o osobę, z którą bezinteresownie dzieliło się świat, która zna nasze najbardziej wrażliwe strony. Gdy zdrada w relacjach społecznych staje się strukturalna, czyli wtedy gdy zachęcają, a nawet nakłaniają do niej mechanizmy wbudowane w struktury społeczne, takie jak anonimizacja relacji przy jednoczesnym kulcie jednostkowego sukcesu – to struktury rozsypują się w pył. Zdrada w przyjaźni to nie tylko zdrada przyjaciela – ale zdrada tej części siebie, gdzie znajdują się bezinteresowne odruchy, hojne decyzje, poświęcenia bez przymusu, życzliwa radość z istnienia drugiego człowieka.

Badania organizacji przyszłości

Współczesny Judasz inwestuje swoje
ciężko zarobione srebrniki
pije

z kim trzeba

co trzeba (nie, nie tamto –
cicuta virosa, conium maculatum –
jeden pies – dla luzerów)

Inwestuje, w internecie czyta,
promocja 8% rocznie
już za 125 tysięcy lat będzie z tego talent.

*

Ostatnie lata zmieniły coś zasadniczo, choć subtelnie, w kulturze polskich miejsc pracy. W swojej książce z 2019 roku pod tytułem „Plunder of the Commons” (tłum. red. „Grabież wspólnego”) Guy Standing pisze, że zasadniczym sposobem akumulacji bogactwa w neoliberalizmie są nie tyle produktywność i innowacje, ile zabór dobra wspólnego.

Przyjaźń to szlachetna więź, która jest fundamentem dobra wspólnego, nawet w swoich słabszych formach. Dzięki niej człowiek jest w stanie wznieść się ponad interes własny, ambicje, relacje rodzinne i uwarunkowania – to, co człowiek „musi”, co „koniecznie chce”, czego „nie może”. Przyjaźń wkłada klin między podmiot a te determinacje.

Neoliberalizm, odwracając naszą uwagę od przyjaźni, zabrał nam najlepszą część ludzkiej kondycji, najpiękniejszą stronę bycia człowiekiem. Sprawił, że tak trudno dziś kochać ludzkość.

Ten typ relacji to arystotelesowska przyjaźń użyteczności i dzięki jej istnieniu powiązania zawodowe czy handlowe zbudowane są na zaufaniu i budują poczucie dobrego porządku świata wokół nas. Kumpel z klubu książki nie może oczekiwać po mnie, że napiszę dla niego esej o przyjaźni, ale chętnie podwiozę go w deszczowy dzień samochodem na dworzec, mimo że nie jest mi po drodze. To tylko przyjaźń przyjemności – ale jednak przyjemność towarzyszenia mu jest przyjemnością inną i ciekawszą niż przyjemność z samotnego przejazdu najkrótszą trasą do domu.

Arystoteles mówił, że przyjaźń polega na wzajemnej życzliwości, na życzeniu drugiej osobie dobra. Samo życzenie to niby nic, a poza tym, czyż nie dzieje się „tylko w umyśle”? A jednak może iść za nim działanie i zaangażowanie. Poza tym sama świadomość, że gdzieś tam, w różnych miejscach na świecie, są osoby dobrze mi życzące, sprawia, że chce mi się żyć. Ciężko mi, gdy myślę o tych, którzy mnie odrzucają czy są moimi wrogami. Jednak nawet to poczucie przygniatającego ciężaru jest niczym w porównaniu z uczuciem, które przychodzi, gdy myślę o tych dobrze mi życzących.

Przyjaciel to ktoś, kto za nic, zupełnie za darmo, może mi podarować drugi świat. Malutki świat z jabłkami na

straganie i panią, która na mój widok konspiracyjnie szepce: „mam dzisiaj dobre antonówki, takie jak pani lubi”. Ale też wielki, kompletny, gdzie wszystko jest inne i gdzie nie ja jestem w centrum, nie ja widzę i odczuwam.

Nie znoszę konkurowania i gdy o coś trzeba rywalizować, tracę motywację do działania, po prostu mi się odechciewa. Unikam konkursów i turniejów. Ale moja przyjaciółka gra w brydża sportowego, jest wielokrotną mistrzynią, uwielbia sportową konkurencję z jej rytuałem fair play i poetyką eleganckich potyczek i poszanowaniem godności grających. Dzięki przyjaciółce mam w prezencie, zupełnie za darmo – bo w brydża gram fatalnie – cały ten drugi świat, gdzie cieszę się z jej pucharów dokładnie tak, jak gdybym to ja je dostała.

Bo w pewnym sensie to ja je dostałam. Niczego jej nie zazdroszczę – bo po co? Po co zazdrościć, gdy mam za frajer? Gdy spotyka mnie coś dobrego w moim świecie, gdy zostaję zaproszona jako wizytująca profesor na francuski uniwersytet, natychmiast jej o tym mówię, bo ona nie zazdrości mi – tylko pomnaża moją radość przez dwa, które to pomnożenie alchemicznie transformuje się w coś nowego i innego. Nie jestem już tylko zadowolona z siebie ani z moich osiągnięć, ale cieszę się naszą wspólną radością, że coś dobrego mi się przytrafiło.

Merytokratyczna dystopia

Ale przyjaźnie są ważnym rodzajem więzi społecznych nie tylko dla jednostek ludzkich – i grup znajomych.

Przyjaźnie mają znaczenie dla budowania większych struktur i instytucji, mimo że w neoliberalizmie rzadko się o tym rozprawia. Jednym z głównych założeń ekonomii głównego nurtu jest to, że aktorzy ekonomiczni zachowują się racjonalnie. Albo pomija się fakt, że prowadzi to do egoizmu i do zachowań oportunistycznych, albo próbuje racjonalizować, a nawet gloryfikować te patologie społeczne.

Nie jesteśmy skazani na takie lodowate egzystowanie, gdzie naprawdę nie widać różnicy, czy pisze do nas kolega z pracy, czy AI. Nie musimy dumać o przyszłości, gdzie do tańca zaprosi nas raczej robot niż przyjaciółka. Nadal można poszukać głębiej niż na błyszczącej, idealnie gładkiej powierzchni redukcjonistycznego świata – tam, gdzie znajdują się żywe wartości. Wśród nich przyjaźń ma szczególne znaczenie, ponieważ, jak twierdzi australijski uczonec od zarządzania Howard Harris, jest zasadą organizującą dla wszystkich wartości. Gdy ją odnajdziemy, będzie łatwiej znaleźć inne (w dodatku nie trzeba już będzie poszukiwać samotnie). Warto.

W końcu sam Bóg – rzadko wszak zabierający bezpośrednio głos w tekstach biblijnych – w Księdze Rodzaju, mówi: „Nie jest dobrze, żeby człowiek był sam”.



| Polska, historia

Niepodległość i sprawiedliwość dla wszystkich. Rząd Jędrzeja Moraczewskiego

Przemysław Prekiel

Choć od początku gabinet Moraczewskiego miał mieć charakter „tymczasowy”, to wykorzystał tę chwilę najlepiej, jak to było możliwe.

Dwumiesięczny okres rządów premiera – czy, jak mówiono wtedy, prezydenta ministrów – Jędrzeja Moraczewskiego, uznawany za pierwszego premiera

II Rzeczypospolitej, stanowi istotny element budowy niepodległego państwa polskiego i nowoczesnego systemu społecznego, wzorowanego na zachodnich standardach.

Sytuacja międzynarodowa i wewnętrzna była w połowie listopada 1918 roku niezwykle skomplikowana i niepewna. Każde z sąsiadujących z Polską państw wysuwało jakieś pretensje terytorialne, a podziały wewnętrzne były olbrzymie. Socjaliści zdawali sobie sprawę, że w tym chaosie władza leży *de facto* na ulicy, należy więc ją podnieść i wziąć odpowiedzialność za Państwo bez oglądania się na państwa ententy. W dużej mierze nadal nie wierzyły one w ideę niepodległości Polski, licząc na zwycięstwo białych w rewolucyjnej Rosji.

Rządy towarzysza z legionów

Po powrocie Józef Piłsudskiego z Magdeburga i powierzeniu mu przez Radę Regencyjną władzy nad wojskiem, należało powołać rząd o jak najszerszym poparciu społecznym. Powołany 6 listopada w Lublinie tymczasowy rząd Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele nie spełniał tego warunku. Lider Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej był dla prawicy radykałem, przedstawicielem rewolucyjnego nurtu, który chciał wprowadzać skrajnie lewicowe porządki.

Dlatego jego następcą został Jędrzej Moraczewski, człowiek bliski i zaufany Piłsudskiemu, który dla prawicy był mniej kontrowersyjny, utrzymywał z nią kontakt,

choć, jak pokażą przyszłe wypadki, nie uchroniło go to od prawicowego zamachu na jego władzę.

Moraczewski nie był osobą anonimową. Pochodził z Wielkopolski, był inżynierem kolejnictwa – niesłychana rzadkość wśród socjalistów, aby działacz tego szczebla miał wykształcenie techniczne – działaczem galicyjskiej PPSD, saperem i żołnierzem Legionów. W czasie wielkiej wojny wchodził w skład Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictwa Niepodległościowych. Miał olbrzymie doświadczenie parlamentarne, będąc w latach 1907–1918 posłem do wiedeńskiej Rady Państwa.

Stał ponadto na czele Konwentu Organizacji A, zakonspirowanej organizacji piłsudczykowskiej, podporządkowanej Polskiej Organizacji Wojskowej, która działała na rzecz polskiej niepodległości. Zażyłość i olbrzymie zaufanie, jakim darzył go Józef Piłsudski, w dużej mierze zdecydowało o nominacji na stanowisko premiera rządu, w skład którego weszło: sześciu socjalistów, pięciu działaczy lewicowego nurtu ruchu ludowego, dwóch reprezentantów lewicowej inteligencji i dwóch bezpartyjnych. Dwa wakaty zająć mieli ludowcy od Witosa oraz dwóch z Wielkopolski. Józef Piłsudski, wówczas występujący jako Tymczasowy Naczelnik Państwa, objął sprawy wojskowe, które były wyłącznie jego domeną.

Ku dobru i pożytkowi ludu i państwa

Nowa władza, podobnie jak rząd Ignacego Daszyńskiego, zaczęła od ogłoszenia swojego programu w formie

manifestu. Zatytułowano go „Do Narodu Polskiego”. Czytamy w nim m.in.: „Wyszliśmy z ludu. Robotnicy i chłopcy polscy oddali nam w ręce władzę nad wyjarzmionymi już częściami Polski [...] Jesteśmy Rządem tymczasowym, powstałym w chwili nagłej potrzeby”. Podkreślano główny cel istnienia rządu, czyli przeprowadzenie wyborów: „Władzę naszą będziemy dzierżyli aż do zwołania Sejmu Ustawodawczego, ślubując sprawować ją ku dobru i pożytkowi ludu i Państwa Polskiego”.

Lewicowi politycy zdawali sobie sprawę z tego, że nie wszystkie polskie dzielnice znajdują w granicach państwa polskiego: „Jeszcze nie jesteśmy wszyscy razem. Ludność Wielkopolski i piastowskiego Śląska nie podlega jeszcze władzy Republiki Polskiej. Doprowadzenie do ostatecznego zjednoczenia wszystkich ziem, zamieszkałych przez ludność polską lub doprowadzenie do Polski ciężących, będzie jednym z pierwszych naszych działań”.

Socjaliści stawiali na tolerancję jako czynnik gwarantujący wszystkim równe prawa: „W dziedzinie równouprawnienia obywatelskiego Polska w myśl najchlubniejszych tradycji w dawnej Rzeczypospolitej z jej tolerancją wyznaniową, z jej najbardziej postępowymi urządzeniami, nie może dać się ubiec żadnemu z najbardziej oświeconych państw zachodu. To też będziemy z całym naciskiem tępiłi te ograniczenia prawne poszczególnych odłamów ludności, jakieśmy odebrali w spadku po zaborcach, i zapobiegali wszelkim waśniom i walkom na tle wyznaniowym i narodowym”.

Niepodległość była celem nadrzędnym dla rządu Moraczewskiego, zdawał on sobie jednocześnie sobie sprawę z tego, że reprezentuje konkretną grupę społeczną. Bazą poparcia była klasa robotnicza, która w owym czasie, po zakończeniu wojny, w dużej mierze pozostawała bez pracy. To stwarzało podatny grunt dla populistycznych haseł komunistycznych, dlatego w manifeste zapisano: „Polska wielka nie tylko obszarem, ale pełnią praw jej ludności, potężna wewnętrznym zespoleniem oświeconego, świadomego swych praw, zażywającego dobrobytu, wyzwolonego z ucisku i wyzysku ludu – oto cel, który będzie przyświecał wszystkim naszym wysiłkom”.

Inaczej mówiąc, socjalistyczny rząd zadeklarował, że robotnik ma stać się świadomym obywatelem państwa polskiego, korzystając z jego dobrodziejstwa, mimo trudności, z jakimi zmagać się będzie w przyszłości. Ponadto manifest podnosił kwestię potrzeby budowy „świeckiej, powszechnej, bezpłatnej, dostępnej jednakowo dla wszystkich szkoły”.

Pierwsze decyzje

Pierwsze posiedzenie rządu odbyło się 18 listopada o godz. 10.40. Mimo że Józef Piłsudski nosił tytuł Tymczasowego Naczelnika Państwa, to w protokołach pojawia się określenie „Komendant”, pochodzące z czasów legionowych. Szef polskiej dyplomacji, zasłużony działacz ruchu prometejskiego, Leon Wasielewski podkreślał potrzebę szybkiego *expose* nowego rządu. Z kolei prezydent

ministrów zwracał uwagę na konieczność podwyższenia podatków, zwłaszcza majątkowego i dochodowego, co było klasycznym postulatem lewicy na całym świecie.

Tego samego dnia premier i ministrowie składali ślubowanie. Co może wydawać się zaskakujące, mając na uwadze lewicowy charakter rządu, jego członkowie dopowiadali słowa przysięgi odnoszące się do Boga. Pełna treść roty brzmiała: „Ślubuję ludowi polskiemu, że jako minister spełniać będę obowiązki mego urzędu bezstronnie, sumiennie i wszystkie me siły obrócę ku służeniu wedle najlepszej mej wiedzy i sumienia dobru i interesom Republiki polskiej. Tak mi Panie Boże dopomóż”.

Na drugim posiedzeniu, które odbyło się tego samego dnia o godz. 20.30, minister Leon Wasilewski referował sprawę *expose* rządu, które miało pokrywać się w większości z manifestem „rządu lubelskiego”. Zawierał on radykalne – jak na ówczesne stosunki społeczne – reformy: ośmiogodzinny czas pracy, republikański ustrój państwa, prawa wyborcze dla kobiet, system demokracji parlamentarnej czy pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze.

Najpilniejszą kwestią było jednak przygotowanie społeczeństwa do wyborów i opracowanie ordynacji wyborczej. Wszystko to odbywało się w olbrzymim pośpiechu, organizacyjnym chaosie i niesłychanie napiętych stosunkach społecznych. Prace nad ordynacją wyborczą rozpoczął jeszcze rząd Józefa Świeżyńskiego, działający z nominacji Rady Regencyjnej, której jednak socjaliści nie uznawali.

Wprowadzili w związku z tym obszerne poprawki. Najważniejsze decyzje dotyczyły podzielenie kraju na 70 okręgów wyborczych, z których każdy miał swoją komisję wyborczą. Na szefie MSW spoczywał obowiązek wyznaczenia komisarzy wyborczych. I tak np. wyborcą mógł być każdy, kto ukończył 21. rok życia, a głosować nie mogli żołnierze w służbie czynnej.

Reformy społeczne

Najbardziej istotnymi ideowo kwestiami dla rządu były reformy społeczne, na jakie czekali robotnicy. Wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy znalazło się już w manifestie „rządu ludowego” Ignacego Daszyńskiego, ale reformy nie wprowadzono w życie. Spotkała się ona za to z olbrzymim sprzeciwem sfer prawicowych: przedsiębiorców, fabrykantów i hierarchii kościelnej.

Sprawę regulacji czasu pracy podnosił pilnie 20 listopada znany działacz i bojowiec PPS, Tomasz Arciszewski, który pełnił w rządzie funkcję ministra poczt i telegrafów. Projekt dekretu Rada Ministrów otrzymała dwa dni później, który następnie uchwalono i weszło w życie. To była prawdziwa rewolucja w najlepszym tego słowa znaczeniu. Od poniedziałku do piątku czas pracy wynosił 8 godzin, w soboty natomiast – 6. Co istotne, zwłaszcza z punktu widzenia pracowników, krótszy czas pracy nie oznaczał niższych płac. Pracodawcy, którzy mieli nie

przestrzegać tego zarządzenia, narażeni byli na wysokie grzywny.

23 listopada rząd ustalił normy płac w zakładach państwowych na terenie, gdzie sięgała jego władza, czyli przede wszystkim: Warszawa i Łódź z okolicami, a także Zagłębie. Wprowadzono zatem coś na wzór dzisiejszej pensji minimalnej. Rozporządzenie o zasiłku dla bezrobotnych było dużą pomocą dla robotników zakładów przemysłowych. Był on wypłacany jednorazowo w wysokości 600 marek polskich na osobę.

Drugą najbardziej istotną kwestią dotyczącą poprawy losu robotników był dekret: „Warunki służbowe minimalne dla niższej służby folwarcznej (parobków)”, który miał poprawić los tej grupy społecznej. Sprawę podnosiło Ministerstwo Apropowizacji, a rząd przyjął dekret na posiedzeniu 29 listopada. Niemniej istotną kwestią okazywały się sprawy ochrony pracy. Wydany dekret o „tymczasowym urzędzeniu i działaniu Inspekcji Pracy” regulował wiele spraw związanych z wypadkami w miejscu pracy i chronił pracowników. 28 grudnia rząd przyjął projekt dekretu o „ubezpieczeniu na wypadek choroby”. Kraj podzielono na 7 okręgów z 27 obwodami inspekcji pracy.

Sprzeciw prymasa

Jednym z największych przeciwników ośmiogodzinnego dnia pracy i reform społecznych okazał się były prymas królestwa kongresowego, arcybiskup warszawski, Aleksander Kakowski, który zanotował w swoich

wspomnieniach: „Rząd Moraczewskiego przyczynił wiele szkód narodowi i państwu polskiemu wydaniem dekretów i rozporządzeń ministerialnych o tendencjach lewicowo-radykalnych, jak 8-godzinnym dniem pracy, o stabilizacji, i płacy nauczycieli szkół elementarnych”.

Taki pogląd podzielała z pewnością większa część polskiego społeczeństwa, co wyraziła w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1919 r., które wygrała prawica. Rząd świadomie działał zatem przeciwko większości, starając się przełamać elitarystyczne poglądy ówczesnych gospodarczych decydentów i katolickiej hierarchii.

Wychodząc jakby naprzeciw słowom Aleksandra Kakowskiego, Józef Piłsudski, w jednym z wywiadów, stwierdzał: „To nie bolszewizm, to nawet nie socjalizm, to demokracja. Chciałem po prostu przerzucić Polskę z osiemnastego wieku do dwudziestego wieku. Jednakże ten skok był konieczny, gdyż trzeba było udzielić ludowi nieco więcej sprawiedliwości socjalnej”.

Nie był to jednak rząd wojny religijnej. Mało kto dziś na przykład pamięta, że to właśnie ta władza wydała zgodę na utworzenie Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie, późniejszego KUL-u, a ministrem, który o to apelował 30 grudnia 1918 roku, był antyklerykał i ateista, stojący na czele resortu Wyznań Religijnych i Oświecenie Publicznego, zasłużony działacz PPS, Ksawery Prauss.

Walka o symbole

Istotną kwestią dotyczącą budowę zrębów państwa polskiego przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego były kwestie symboliczne. Jedną z nich dotyczyła symboli narodowych, a zwłaszcza godła państwowego. W legionach żołnierze w czasie wielkiej wojny nosili orła bez korony; taki miał też pozostać po odzyskaniu niepodległości. Minister spraw wewnętrznych, który regulował te kwestie, wychodził z założenia, iż symbolem monarchii jest korona, a zatem Polska, jako państwo demokratyczne i republikańskie, nie będzie go używać.

To oczywiście nie spodobało się znacznej, przede wszystkim endeckiej, części społeczeństwa, która przepuściła huraganowy atak na władzę, twierdząc, że lewicowy rząd zrobił z polskiego orła „gęś”. Takie, z pozoru drobne i błahe, sprawy były rozdmuchiwane do niewyobrażalnych rozmiarów. Sam premier pisał, iż było to rozporządzenie szefa MSW, Stanisława Thugutta, który, „urzędowo przy zamawianiu nowych pieczęci kazał robić orła bez szopek na głowie. Jak zwał, tak zwał, byle istniało państwo polskie, byle zjednoczyło wszystkie ziemie polskie, byle twardo dzierżyło sztandar niepodległości”.

Podobnie kontrowersje wywołał czerwony sztandar – symbol walki klasowej, którą prowadziła PPS – który już 13 listopada zawisł na Zamku Królewskim w Warszawie jako symbol zerwania z tradycją monarchistyczną i przejęcia władzy przez polski lud. Wszystko działo się w obecności Józefa Piłsudskiego, który spotkał się

z robotniczą delegacją i zezwolił na ten symboliczny gest. Podobnie wydarzenie miało miejsce wcześniej w Radomiu, który jako pierwsze miasto byłego Królestwa Polskiego, ogłosił niepodległość. W mieście władzę przejął tzw. Komitet Pięciu z socjalistą Stanisławem Kelles-Krauzem na czele. Na budynkach miejskich zawisły wówczas flagi polskie i czerwone sztandary.

Podobnych decyzji symbolicznych było więcej. 21 listopada Rada Ministrów wydała dekret w sprawie używania tytułów rodowych. Zawieszono zostały takie tytuły, jak „ekscelencja”, które używane były zwłaszcza wśród wyższych urzędników; jak również tytuły rodowe, co ostatecznie potwierdzi konstytucja marcowa z 1921 roku. Dla socjalistów były to przede wszystkim decyzje zrywające z hierarchicznością stosunków społecznych i część procesu demokratyzacji życia publicznego.

Podczas prac rządu nie tytułowano się per „pan”, tylko „obywatel”, co miało nawiązywać do tradycji kościuszkowskiej. Wszystkie reformy społeczne rządu Jędrzej Moraczewski określał jako „linię Zachodu”, gdyż, jego zdaniem, „Wschód” wiązał się z chaosem. Miał z pewnością świadomość zagrożenia ze strony komunistów, którzy siali zamęt, podejmowali akcje strajkowe, występując otwarcie, podobnie jak endecja z prawej strony, przeciwko rządowi.

Mieczysław Niedziałkowski, główny ideolog PPS, oceniał po latach, że największą zasługą gabinetu Jędrzeja Moraczewskiego było obranie drogi demokracji

parlamentarnej, a nie dyktatury proletariatu. „Tym uratował Polskę od losu Rosji” – pisał Niedziałkowski.

Upadek

Rząd Jędrzeja Moraczewskiego pracował w niezwykle trudnych warunkach gospodarczych, w zniszczonym kraju, pozbawionym przemysłu, targanym wewnętrznymi i zewnętrznymi konfliktami. Wprowadził podwaliny pod budowę sprawiedliwego ustroju, swobody obywatelskie, jak wolność zebrania, słowa, prasy, zrzeszeń. Przeprowadził odradzające się polskie państwo przez trudny okres jego budowy, kształtowania się administracji, samorządu, umacniając polską niepodległość, wprowadzając demokrację, jako ustrój najkorzystniejszy dla obywateli i obywateli.

Przetrwał też najtrudniejszą dla siebie próbę, czyli zamachu stanu, przeprowadzony przez Eustachego Sapiechę i płk. Mariana Januszajtisa w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku. Choć atak zakończył się blamażem jego sprawców, był jasnym sygnałem, że rząd nie ma poparcia w kręgach nielewicowych. A, jak pokazały wkrótce wybory, lewica nie cieszyła się poparciem większości wyborców.

Kierując się interesem państwa, a nie interesem partyjnym, gabinet Jędrzeja Moraczewskiego podał się do dymisji 16 stycznia 1919 roku, ułatwiając nowemu rządowi pod przywództwem Ignacego Paderewskiego uznanie władz polskich przez Zachód i budowę

międzynarodowej pozycji państwa. Choć od początku gabinet Moraczewskiego miał mieć charakter „tymczasowy”, to wykorzystał tę chwilę najlepiej, jak to było możliwe.

Biogramy autorów

Karol Grabias Redaktor portalu Więż.pl i kwartalnika „Więż”. Absolwent Katedry Filozofii Kultury i Religii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, doktorant filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, członek zespołu redakcyjnego „Rocznika Historii Filozofii Polskiej”. Autor tekstów i wywiadów publikowanych na łamach „Teologii Politycznej”, „Nowych Książek” i „Nowego Napisu”. Jego zainteresowania obejmują współczesną filozofię religii, wiary, fenomenologię intersubiektywności i personalizm. W wolnym czasie basista dreampopowego zespołu Midsommar i recenzent muzyczny portalu Undertone. Mieszka w Warszawie.

Monika Anna Rosa Polityczka (obecnie Koalicja Obywatelska) i politolożka, posłanka na Sejm VIII, IX i X kadencji. Jest Ślązaczką i identyfikuje się jako osoba narodowości śląskiej. Ukończyła politologię na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pracowała w Radiu CCM, a w latach 2008–2010 zajmowała stanowisko koordynatorki w dziale HR Opteam Poland w Katowicach. Od 2010 była urzędniczką w Kancelarii Prezydenta RP w okresie prezydentury Bronisława Komorowskiego, pełniła obowiązki zastępcy dyrektora Zespołu Obsługi Bieżącej w Gabinetie Prezydenta RP. Zajmowała się koordynowaniem obchodów 25. rocznicy wyborów z 1989 r. W wyborach w 2023 r. po raz trzeci z rzędu uzyskała mandat poselski. Została przewodniczącą

Komisji do Spraw Dzieci i Młodzieży, zastępczynią przewodniczącej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych oraz członkinią Komisji Polityki Społecznej i Rodziny.

Katarzyna Jabłońska Absolwentka Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, krytyk filmowy. Redaktor kwartalnika „Więź”, w latach 1997–2017 była sekretarzem redakcji. Współautorka felietonu filmowego „Książd z kobietą w kinie” (z ks. Andrzejem Lutrem). Współautorka i współredaktorka książek, m.in. „Szału nie ma, jest rak” i „Życ aż do końca. Instrukcja obsługi choroby” (z ks. Janem Kaczkowskim), „Wyzywająca miłość. Chrześcijaństwo a homoseksualizm”, „Między konfesjonalem a kozetką”. Należy do Zespołu Laboratorium „Więzi”.

Konrad Ciesiołkiewicz Doktor nauk społecznych. Studiował politologię, w tym chrześcijańskie nauki społeczne, psychologię i zarządzanie. Prezes Fundacji Orange i menadżer w Orange Polska, gdzie zarządza między innymi społeczną odpowiedzialnością biznesu i relacjami publicznymi. Jest także przewodniczącym Komitetu Dialogu Społecznego Krajowej Izby Gospodarczej. Ma doświadczenie pracy i zaangażowania w trzecim sektorze, w rządzie i biznesie. Członek Zespołu Laboratorium „Więzi”, współkoordynator Projektu Oczyszczalnia. Laureat Nagrody im. Janusza Korczaka w 2023 roku. Mąż i tata dwójki dzieci. Więcej informacji o autorze na jego stronie internetowej: <https://ciesiolkiewicz.pl>.

Małgorzata Wałęjko Doktor nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki, teolog małżeństwa i rodziny. Adiunkt w Katedrze Historii i Teorii Wychowania Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Szczecińskiego (Zespół Filozofii Wychowania), współzałożycielka i wiceprezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Samotnością ISRS (International Society for Research on Solitude). Mieszka w Szczecinie.

Zbigniew Nosowski Mąż, ojciec, teść i dziadek, redaktor „Więzi” od 1989 roku, redaktor naczelny od roku 2001. Autor książek: „Parami do nieba. Małżeńska droga świętości”, „Szare a piękne. Rekolekcje o codzienności”, „Polski rachunek sumienia z Jana Pawła II”, „Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują”, „Szukanie nadziei”. Współautor książki i cyklu telewizyjnego „Dzieci Soboru zadają pytania”. Autor podcastu „Półprzewodnik po nocy ciemnej”. W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem Synodu Biskupów w Watykanie; w latach 2002–2008 – konsultorem Papieskiej Rady ds. Świeckich. Dyrektor programowy Laboratorium „Więzi”, współtwórca Inicjatywy „Zranieni w Kościele”. W latach 2007–2009 i 2017–2023 był chrześcijańskim współprzewodniczącym Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów, obecnie członek zarządu Rady. Przewodniczący Społecznego Komitetu Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich. Doktor honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego. Laureat Nagrody Muzeum POLIN 2021 i Nagrody Tischnera 2022. Mieszka w Otwocku.

Monika Kostera Profesor w dziedzinie ekonomii i nauk humanistycznych. Jest profesorką na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie w Södertörn (Szwecja). Pracowała również a na uczelniach w Polsce, Wielkiej Brytanii, Szwecji i we Francji. Opublikowała przeszło 50 książek i liczne artykuły naukowe z zakresu socjologii organizacji i zarządzania, a także poezję. Jest współredaktorką naukową pisma „Gender, Work and Organization” oraz „Culture and Organization”; współredagowała kilka czasopism, w tym „British Journal of Management”. Jej obecne zainteresowania badawcze obejmują wyobraźnię organizacyjną, dezalienację pracy, pracę artystów i etnografię organizacyjną.

Przemysław Prekiel Dziennikarz i lewicowy publicysta, autor kilku książek m.in.: wywiadu rzeki z prof. Krzysztofem Dunin-Wąsowiczem „Historyk, socjalista, pamiętnik”, „Jaka Polska”, „Stanisław Dubois 1901–1942”, „Ludwik Cohn. Od PPS po KOR”.